

BEZ
DEKRETU

NR 6 KRAKÓW

BEZ DEKRETU

Pismo członków i sympatyków

„SOLIDARNOŚCI”

NR 6

Kraków — Kwiecień 1985

Spis treści:

1. Mówi ks. Tadeusz Zaleski-Isakowicz	3
2. Droga na Wiejską. Rozmowa z posłem Romualdem Bukowskim	6
3. Edmund Osmańczyk - Minione i następne cztery lata	12
4. Antoni Pawlak - Dzieci PRL-u	14
5. Krzysztof Jerzewski - Myślenie polityczne	28
6. Marian Garden - Są zwykłymi robotnikami Huty im. Lenina - jakich tysiące	32
7. Dokumenty represji	36
8. Ernest Skalski - Spirala	41
9. Aleksander Rybczyński - Wiersze	45
10. Gwido Zlatkes - Niepoezja	48
11. Stanisław Krzysztofowicz - Drogi do gwiazd	50
12. Andrzej Wiernikowski - Morderczy wyścig na 1200 metrów	54
13. Kazimierz Dziewanowski - Wiosna osiemdziesiąt pięć	58
14. Zgubiło was powodzenie - rozmowa z Normanem Davisem	66
15. Listy do redakcji	71
16. Tumany i fetysze. W drodze do Niepodległej	71

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

© Copyright by BEZ DEKRETU

Mówi ks. Tadeusz Zaleski - Isakowicz...



... w Wielką Sobotę wracałem z kościoła w Mistrzejowicach do domu. Ze względu na urlop zdrowotny mieszkam u rodziców. Zszedłem, przed wejściem do mieszkania, do piwnicy, żeby zabrać części do wózków inwalidzkich. Zobaczyłem, że nie pali się światło. Zapaliłem świeczkę i zauważyłem, że brakuje kłódki od piwnicy. Byłem w piwnicy około 5 minut. Usłyszałem jakiś szelest - jakby ktoś szedł po korytarzu. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem zamaskowanego mężczyznę. Twarz miał zasłoniętą maską. Byłem zaskoczony jego widokiem. On wykorzystał ten moment zawahania. W rękach trzymał coś na kształt rurki. Podsunął ją niemal pod moją twarz i wystrzelił. Poczujęm jakby uderzenie powietrza w twarz i straciłem przytomność. Po jakimś czasie obudziłem się, czułem bardzo silne pieczenie twarzy oraz silne światło skierowane prosto w oczy, które mnie oślepiło. Znowu straciłem przytomność. Kiedy odzyskałem ją ponownie zobaczyłem, że pali się rękaw mojej kurtki. Byłem zupełnie obojętny. Przez kilkanaście czy kilkadziesiąt sekund nie mogłem wykonać żadnego ruchu. Siłą woli podniosłem się na łokciach, przycisnąłem rękę do ziemi i czolgając się wyszedłem z piwnicy. Wydrapałem się na czwarte piętro. Mama natychmiast zatelefonowała na milicję i na pogotowie. Po jej



drugim telefonie, nasz telefon został wyłączony. Tak więc po straż pożarną mama dzwoniła już od sąsiadów. Stwierdziłem, że mam wywrócone wszystkie kieszenie... Zobaczyłem również oparzenia... spalona kurtka i ręka... oparzenia punktowe, nieregularne na szyi i obu dłoniach i bardziej regularne na twarzy i brzuchu, układające się w kształcie litery "W". Tych punktowych oparzeń było 28...

Na pogotowiu udzielono mi pierwszej pomocy. Tam też po raz pierwszy milicja zapytała mnie: co się stało? Jednakże nie wszczęła ona żadnych przesłuchań, ani żadnych dochodzeń. Piwnica była otwarta całą noc. Dopiero w następnym dniu przyjechała milicja i spisała moje zeznania. Przez dwa dni w ogóle nie byłem badany przez lekarza. Dopiero w poniedziałek byłem na medycynie sądowej. Bardzo powierzchownie oglądnięto moje rany. We wtorek byłem tam również, ale także nie pobrano do analizy krwi oraz moczu, ani próbek z ran. Jeżeli więc był użyty gaz, to teraz nie da się stwierdzić jakiego rodzaju i jak działał... Zostały zaniedbane podstawowe czynności... Ja wiem tylko, że po obudzeniu się, mimo bólu spowodowanego palącym się rękawem, nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem wstać.

Zawsze zeznawałem, że widziałem jedną zamaskowaną osobę. Dziwi mnie więc notatka prasowa, jakobym zmienił zeznania. Zawsze mówiłem o jednej osobie, bo jedną widziałem... Tak zeznawałem zawsze. Zeznawałem też, że przez okres mniej więcej miesiąca byłem inwigilowany. Widziałem, że jeżdżą za mną rozmaici mężczyźni. Łączyłem to z tym, że od czterech miesięcy współpracuję z księdzem Jancarzem w Mistrzejowicach. Wydawało mi się, że jest to normalne, że inwigiluje mnie służba bezpieczeństwa. Natomiast nie mam żadnych dowodów na to, kto mnie w rzeczywistości śledził. Nie wiem, kto siedział w tych zaparkowanych pod domem samochodach...

Do chwili choroby byłem w Zabierzowie Bocheńskim. Tam zetknąłem się ze sprawą Tadeusza Frąsia - założyciela nauczycielskiej "Solidarności" w tej miejscowości, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Prokuratura umorzyła śledztwo. Niemniej dowody zebrane przez mnie i rodzinę wskazywały, że nie była to śmierć samobójcza - jak twierdziła prokuratura. Człowiek ten został zamordowany z powodu działalności w nielegalnych strukturach "Solidarności" - czyli jest to przypuszczenie, że zamordowano go ze względów politycznych. Na początku tego roku napisałem list do Komitetu Obrony Praw Człowieka w Krakowie, publikując szereg materiałów. Jednocześnie prosiłem Komitet o wszczęcie dochodzenia w tej sprawie /list publikowaliśmy w B.D. nr 2 - red./. List ten podpisałem nazwiskiem. Długo zastanawiałem się, ale uznałem, że podpisując jako wikary parafii - uwiarygadniam to. Zdawałem sobie sprawę z ewentualnych represji. Uważałem jednak, że działam w imię prawdy i że jest to mój obowiązek.

Natomiast w mojej sprawie dziwi mnie bardzo opieszałość w wykonywaniu czynności dochodzeniowych. Nie przeprowadzono żadnych badań, które mogłyby wykazać, jakiego rodzaju były to oparzenia i czy był użyty gaz. Poza tym w ogóle nie zabezpieczono piwnicy. Przez 48 godzin do tej piwnicy mógł wejść każdy i robić tam co chciał. Gdyby to była sprawa chuligańskiej bójki, milicja od razu zabezpieczyłaby ślady... Nawet buty, w których byłem, nie zostały sprawdzone, by dowiedzieć, które ślady w piwnicy są moje, a które są odciskami napastnika czy napastników. Ja nie mam dowodów i nie mogę sugerować kto mnie napadł...

Raz byłem przesłuchiwany. Przeczytałem notatki prasowe na swój temat. Pomijam taki szczegół, że bezprawne jest publikowanie informacji o czyjejś chorobie przed ukończeniem śledztwa, ale przypuszczam, że taka publikacja przed ukończeniem śledztwa miała dowieść, że nie był to napad, ale moja choroba. Od razu stwierdzono, że sprawców nie ma i nie było, a jest to tylko wymysł mojej chorej wyobraźni, czy też ataku padaczki. Jeżeli użyto takiego chwytu dowodzi to, że śledztwo

niczego nie wykaże. Lekarze jednak stwierdzili, że niemożliwym jest, abym sam zadał sobie te rany. Moje ubranie jest zabezpieczone i poza spalonym rękawem jest nietknięte ogniem. Natomiast ja mam oparzenia np. pod koszulą i podkoszulkiem. Zarówno koszula, jak i podkoszulek są nietknięte ogniem. Musiałbym jeszcze w tym "ataku padaczki" rozerwać sobie koszulę, podnieść podkoszulek i zadawać sobie rany na brzuchu. To jest absurd, bo o ile wiem, atak padaczki polega na sztywnieniu wszystkich części ciała, ewentualnie na drgawkach, a nie na działaniu w szoku. Moje obrażenia są przecież punktowe. W jaki sposób zostało wypalonych te 28 punktów?

Od redakcji:

W naszym przekonaniu jest to jakiś akt zemsty za sprawę Tadeusza Frąsia, za to, że ksiądz odważył się publicznie wystąpić i podpisać to imieniem i nazwiskiem.

Opinia publiczna łączy wypadek ks. Tadeusza Zaleskiego z dwoma poprzednimi, czyli z zamachem na ks. Kazimierza Jancarza, z którym ks. Zaleski pracuje od czterech miesięcy i z napadem na Francuza Frederica Castaing'a. Istnieją duże zbieżności, ale sprawców nie ma. Sprawę ks. Tadeusza Zaleskiego umorzono "z powodu niezastażenia przestępstwa"... Ciekawe, czy podobne sformułowanie podano by do naszej wiadomości odnośnie ks. Jerzego Popiełuszki, gdyby nie udało się uciec Waldemarowi Chrostowskiemu?

DROGA NA WIEJSKĄ

ROZMOWA Z POSŁEM ROMUALDEM BUKOWSKIM

- Ze stenogramów posiedzeń Sejmu VIII kadencji wynika, że należy Pan do najaktywniejszych posłów...

- To chyba przesada.

- Nie. Połowa posłów nie zabrała ani razu głosu na posiedzeniach plenarnych, Pan - 13 razy, występując "w imieniu tych, którzy za swego reprezentanta mnie uważają". Kogo Pan reprezentuje? Kto Panu kazał występować?

- Sam sobie kazałem, jako że jestem... posłem. Reprezentuję bezpartyjnych, ale także partyjnych. Niektórych. Zresztą każdy poseł miał przemawiać.

- A ile trwałyby wtedy posiedzenia Sejmu?

- A gdzie jest powiedziane ile powinny trwać? Między Sierpniem a grudniem sesje były dwudniowe.

- Z założenie czy pod wpływem ilości zgłaszających się mówców?

- Na próbie generalnej, czyli podczas zebrania klubu poselskiego PZPR okazywało się, ilu posłów zgłasza się do wystąpienia, więc przedłużano sesję. Powiedziałem "na próbie generalnej" trochę żartem, kluby mają posiedzenia wcześniej, a to jest klub najliczniejszy i zapraszani są na jego posiedzenia posłowie bezpartyjni.

- I przychodzą?

- To jest dobrze widziane. Ja nie przychodzę od stanu wojennego, paru innych posłów podobnie.

- Bretny w "Roku w trumnie" napisał, że ten Sejm był "palcem przez Babiucha robiony".

- Bratny ma bardzo brzydkie określenia.

- Jak Pan został posłem?

- Podobnie jak inni. Sejm był komponowany tak, by poszczególne środowiska zawodowe miały swoich przedstawicieli: aktorzy, lekarze, kolejarze, rolnicy, robotnicy, cała masa różnych zawodów przy zachowaniu starannie dobranej kompozycji partyjnej. I między innymi potrzebny był plastyk, ze sztuki użytkowej, ze Związku Polskich Artystów Plastyków. Wybrano dwie takie osoby: Mariana Koniecznego z Krakowa, który reprezentował raczej podejście nauczycielskie i mnie - szeregowego członka ZPAP.

- Ale dlaczego akurat Pana?

- Przez dwie kadencje byłem radnym wojewódzkim w Gdańsku. Niczego tam nie załatwiałem poza sprawami plastycznymi. I Fiszbach, znając mnie stamtąd i z wcześniejszej prezesury oddziału ZPAP - zaproponował mi kandydowanie. Uważałem, że osobiście w niczym to mi nie pomoże, natomiast może ułatwić sprawowanie urzędu dyrektora Biura Wystaw Artystycznych i upowszechnianie plastyki. Zgodziłem się, uznając to za cenę aktywności zawodowej.

- Był Pan na miejscu mandatowym?

- Postawiłem taki warunek.

- Wyborcy uznali Pana za swego reprezentanta?

- Miałem tego dowody. Przychodziło dużo listów po moich wystąpieniach sejmowych i w trudnych sytuacjach, na przykład przed delegalizacją związku.

- Po raz pierwszy Sejm VIII kadencji zebrał się w kwietniu 1980 roku. Pamięta Pan swoje pierwsze kroki?

- Tak. Wydawało mi się, że jest to miejsce dla mnie zbyt trudne, że nie przetrwam. Przed pierwszym posiedzeniem spotkaliśmy się na chwilkę w gronie posłów bezpartyjnych z Haliną Skibniewską. Chodziło o deklaracje opłat miesięcznych na kluby poselskie. Deklarowano 1000-1500 złotych miesięcznie, ja zgodziłem się na 500 mówiąc, że dołożę następny tysiąc, jeśli otrzymam prawo głosu w Klubie PZPR. Pan, który odbierał deklaracje był zmieszany, tłumaczył się, że nie jest upoważniony do takich decyzji. No i płaciłem przez te lata najmniej ze wszystkich posłów, choć diety wzrosły do 15 tys. miesięcznie. Jak Pan widzi, trochę droczyłem się, trochę bawiłem.

Na pierwszym posiedzeniu komisji kultury, kiedy marszałek Sejmu zaproponował nam kandydatury do prezydium komisji - kwestionowałem ją, podobnie jak kilku innych posłów, ale w końcu zgodziliśmy się, bo innych kandydatów nie było. Przewodniczącą została pani z poprzedniej kadencji, wszystko było tak grzecznie i ładnie. Na posiedzeniach plenarnych nie zabierałem głosu, chociaż korciło mnie, żeby po jakiejś mowie Gierkowej skorzystać z prawa repliki. Ale ta trybuna jeszcze wtedy mnie onieśmiała. Przemawiał z niej Bierut, Gomułka. Tyle wspomnień...

- A o czym wtedy mówił Gierek?

- To była typowa mowa Gierkowa, o potrzebie pracy, wzmoczonego wysiłku i tak dalej. Mówiło się o tym wszędzie, wypisywało na planszach, choćby przy drodze z Warszawy do Katowic, którą w sierpniu 1980 roku jechałem na wczasy do Wisły. Kiedy wracałem nią parę dni później, po radiowym komunikacie o "przerwach w pracy na Wybrzeżu" - te hasła wyglądały już żałośnie.

W pracy zastałem wywieszone flagi, chłopcy w opaskach. Strajk. Pytali, czy dobrze zrobili. Powiedziałem, że jeśli przemyśleli wszystko, także i to, że może skończyć się jak w grudniu 1970 roku - to

tak. Nasz samochód jeździł pod stoczną, przekazywaliśmy zebrane wśród pracowników datki, czekaliśmy.

- Spodziewał się Pan tych dni?

- Czekałem na nie od 1956 roku, od 1970. W Październiku zdążyłem wziąć udział, wydawaliśmy wtedy, jako studenci, tygodnik "Kontrasty", całkiem inne od tych białostockich. W 1970 roku byłem z kolegą pod Stoczną. Jedyni dwaj w kapeluszach w tłumie ludzi w czapkach i kufajkach. Wyglądaliśmy obco ale czuliśmy się na miejscu. Może do chwili gdy ruszyły watahy milicji a z drugiej strony posypały się kamienie, gdy stoczniowcy zaczęli walczyć zrobionymi naprędce szabłami. Później było spalenie komitetu. Tak, to było już niedobre, wycofaliśmy się stamtąd.

- Piątego września 1980 roku przyjechał Pan do Warszawy na pierwsze po zawarciu porozumień społecznych posiedzenie Sejmu. Niezwykle...

- Tak, wyglądało jakby Sejm się przybudził. Naprawdę, ludzie nie tylko myśleli ale i mówili inaczej. I ci dawni dygnitarze gierkowscy i ci, którzy wcześniej milczeli. Wystąpiłem późnym wieczorem, bez kartki oczywiście, chociaż po raz pierwszy, mówiłem o atmosferze Gdańska, o tych 18 dniach, o porządku i ludzkiej życzliwości, o nadziei.

- I co dalej z tym przebudzeniem Sejmu?

- Różnie. Inaczej wyglądał w okresie "Solidarności", inaczej jest od stanu wojennego. W 1981 roku Sejm był pod licznymi naciskami, między innymi grup związkowych, były naciski na posłów, działała atmosfera w kraju. I niezależnie od tego czy człowiek był zwolennikiem "Solidarności" czy nie - inaczej kształtował swoje poglądy, inaczej je wypowiadał.

- A teraz?

- W tej chwili niewiele można zmienić w projektach ustaw przedstawianych Sejmowi. Przychodzą przede wszystkim z inicjatywy rządu i jego przedstawiciele bronią każdego zapisu, każdego sformułowania, nie dają nic zmienić.

- Ale przecież to posłowie mają moc stanowienia...

- Tak, ale kiedy po dyskusji przychodzi do głosowania większość jest jednak za, obligowana decyzjami partii i stronnictw politycznych. Posłowie podporządkowują się im z uwagi na swój... urząd. I dlatego poprawki do projektów rządowych na ogół przepadają. W pierwszym, drugim, trzecim głosowaniu. To, wie pan, funkcjonuje... sprawnie.

Na przykład kwestia mojego projektu powołania nadzwyczajnej komisji do opracowania aktu pojednania narodowego, nad którym latem 1981 roku mieliśmy spotkać się przedstawiciele władzy, "Solidarności" i Kościoła. Żeby taki projekt mógł być rozpatrywany przez Konwent Seniorów musiałbym zgromadzić pod nim podpisy co najmniej 15 posłów. Miałem najwyżej 13, później dwóch się wycofało. I sprawa upadła.

- A projekt ustawy paszportowej Osmańczyka?

- Bez szans, on zdawał sobie z tego sprawę, nawet nie szukał tych czternastu. To nie jest tak łatwo, nawet u posłów bezpartyjnych, nie związanych dyscypliną - bo są wśród nich i tacy, których interesuje tylko jedna sprawa. Na przykład szpital dla chorych na raka. I tylko o nią walczą, o nic innego.

- Ale czy do tego trzeba być posłem?

- Tak, to jest pytanie.

- W 1981 roku posłowie domagali się konsultowania w komisjach sejmowych propozycji zmian personalnych w rządzie.

- Nie pamiętam takiej praktyki.

- Były też wnioski uzyskiwania przez rząd sejmowej akceptacji dla zaciągania większych kredytów, kupna licencji. Czy Sejm ma w tych sprawach coś do powiedzenia?

- Nie sądzę.

- Jak wyglądają spotkania z wyborcami?

- Ta instytucja właściwie nie funkcjonowała. Są pozory albo spotkania błahe, prawdziwych nie ma.

- A w latach 1980-1981?

- Wtedy były, uczestniczyłem w nich, między innymi samorządów pracowniczych w Gdańsku. Ponad czterysta zakładów miało swoje przedstawicielstwo i z nimi współpracowałem. W okresie stanu wojennego byłem na kilku spotkaniach organizowanych przez instytucje - PLO, stocznię Komuny Paryskiej, ale ludzie byli dobrani - dyrekcja, aktyw. Obecnie pod koniec kadencji spotkania mają mieć charakter otwarty i zamierzam w nich uczestniczyć.

- A zatem kogo poseł reprezentuje - partię czy swoich wyborców?

- Partię, oczywiście

- A bezpartyjny?

- Bezpartyjnych. Jak dobrze policzyć wychodzi jeden na pół miliona. Chociaż jest i inna koncepcja. Wyłożył ją nam przewodniczący klubu poselskiego PZPR, Kazimierz Barcikowski, na spotkaniu w Sejmie przed pierwszym posiedzeniem w stanie wojennym. Wtedy wśród posłów bezpartyjnych było sporo głosów przeciwnych akceptacji dekretów Rady Państwa, mówił o tym między innymi profesor Jerzy Bukowski. I jemu to Barcikowski powiedział: "Pan także jest zobowiązany do partyjnej dyscypliny, bo jest pan posełem z woli i wyboru naszej partii". Profesor nie chciał jakoś wtedy replikować, ja też się nie kwapiłem, chociaż miałem na to gotową odpowiedź: "Jest pan w błędzie, panie pośle. To wy, panowie, nas potrzebujecie w Sejmie, a nie my was, skoro nie wszyscy wyborcy są partyjni!"

- I po tym zebraniu, po pamiętnym wystąpieniu generała Jaruzelskiego /"Polska nie zginęła!"/ - odbyło się głosowanie. Pan jeden był przeciw...

- Tak, jeden. Sądziłem, że będzie nas więcej, zapowiadało się - ale zostałem sam. Upamiętniła mnie "Trybuna Ludu" wymieniając z nazwiska, za co jestem jej serdecznie wdzięczny. Byłem konsekwentny, starałem się zawsze mówić prawdę. To wszystko.

- Nie chciał Pan złożyć mandatu?

- Holubek to zrobił i część środowiska artystycznego miała mu to za złe, ja - nie. Może nie mógł już tego wytrzymać? Byłem bliki tej decyzji.

- Czy jest Pan za "profesjonalizacją" posłowania, czyli za odejściem posłów na czas kadencji od pracy zawodowej?

- Poseł mało wie, tak zresztą jak każdy obywatel. Żeby wiedzieć więcej potrzebowałby szybkiego dostępu do danych i to takich, których nie ma w roczniku statystycznym. Można o zebranie takich informacji prosić aparat sejmowy, ale nie słyszałem, żeby ktoś tego próbował. Pozostaje zatem intuicja.

- To faworyzuje posłów urzędników państwowych i działaczy poli-

tycznych, mających podległy sobie aparat.

- Czy jednak daje on autentyczne odpowiedzi na stawiane mu pytania? W naszym Sejmie trzeba przede wszystkim być przytomnym, mieć instynkt społeczny, wiedzieć co jest dobre a co złe dla społeczeństwa i dla państwa.

- Czy starał się Pan kształcić to poczucie?

- Zwracałem się z wątpliwościami do wielu grup społecznych, działaczy, pracowników. Nie zdarzyło się, żebym dostał radę krańcowo różną od tego co sam sądziłem. Może dlatego, że pytałem podobnie myślących a może nie były to zbyt skomplikowane sprawy.

- Przecież miał Pan wystąpienia dotyczące szczegółów gospodarki morskiej, opłacalności połowów, umowy z Peru...

- To jest temat, który wlokę za sobą jak sieć. Złożyłem już trzecią interpelację u ministra Korzonka.

- Skutek dwóch poprzednich był niewielki?

- Tak, podobnie jak wszelkich interwencyjnych poczynań poselskich. Znam to ze swoich interwencji w różnych sprawach. Mam dyżury co miesiąc w Wojewódzkiej Radzie Narodowej i przyjmuję każdego u siebie, w Gdańsku, na ul. Zbyszka z Bogdańca 85.

- Kto przychodzi?

- Ostatnio: 71-letni obywatel bez mieszkania, renty lub emerytury od 20 lat, clochard. Prosił o mieszkanie, które kiedyś utracił. Kapitan żeglugi wielkiej pozbawiony pracy w 1982 roku - w sprawie powrotu na morze. Marynarz chory, z ułomnościami nogi - o mieszkanie dla licznej, dorastającej rodziny. Spółdzielcy - o rewaloryzację ich wkładów na budownictwo jednorodzinne.

- Co udało się Panu załatwić?

- Żadnej sprawy do końca. Clochard mieszkania nie dostał, załatwiłem mu kartki i zapomogę, której zresztą nie wziął. Mieszkanie dla chorego marynarza - obiecano. Reszta - nie załatwiona, ugrzęzła.

- Pana pierwsza interpelacja poselska w stanie wojennym dotyczyła warunków internowania i zmuszania do banicji przez skłanianie do wyjazdu za granicę. Czy dostał Pan odpowiedź?

- Dostałem. Pełną ogólników i okrągłych sformułowań, między innymi o tym, że kara bsnicji była w Polsce stosowana, a propozycja wyjazdu banicją nie jest, ponieważ do niej potrzebny jest prawomocny wyrok sądowy.

- A co z postulowanym przez Pana wyjazdem posłów gdańskich do ośrodka internowania w Strzebielinku?

- Wyjechali inni posłowie, z Warszawy i do innego ośrodka.

- Mam tu listę pozostałych Pana postulatów, zgłaszanych uparcie przez cztery lata z trybuny sejmowej: uchwalenie aktu pojednania narodowego, powołanie poselskiego komitetu na rzecz ugody i porozumienia, idea okrągłego dyskusyjnego stołu Polaków, powszechna amnestia dla więźniów politycznych, badania ankietowe na temat wyjścia z kryzysu, ustalenie statusu więźnia niekryminalnego... Bilans nie jest optymistyczny!

- Dlaczego? Amnestia - na plus, chociaż gdy o niej mówiłem, po sali wiało chłodem /ale w kuluarach zbierałem gratulacje/, inne inicjatywy częściowo przejął PRON, częściowo inni.

- A status więźnia niekryminalnego, o który apelował Pan "z myślą

o nieznaney nikomu przyszłości"?

- Nie wiem o żadnej zmianie.

- Chciałby Pan znów kandydować?

- Broń Boże, raz wystarczy. To była wielka przygoda, a taką przeżywa się raz. Proponowałem, żeby była jeszcze większa, żeby ludzie o coś jeszcze się wzbogacili. Nie skorzystali. Trudno.

- Nie żałuje Pan tych pięciu lat na Wiejskiej?

- Niczego nie żałuję. Dotknięcie z bliska spraw rządzenia jest pożyteczne dla każdego człowieka.

- Co Pan zamierza dalej?

- Na razie, jeszcze przez rok będę na rencie, dzięki prawemu oku, w którym mam wylewy. Przedtem byłem bezrobotny - od jesieni 1982, od wystawy, którą zrobiliśmy w naszej galerii w sierpniu. Nie przypadła władzom do gustu i zacząłem płacić mandaty za śmieci na podwórku, stawać przed dyrektorem wydziału kultury w błahych sprawach, dostawać liczne nagany... Spytałem, czy długo chcą tak mnie gnębić? Powiedzieli, że dopóki sam nie podziękuję. Podziękowałem i zostałem zdaje się jedynym bezrobotnym posłem, a przez miesiąc - nie byłem i posłem.

- Jak to?

- Było przecież i drugie dramatyczne głosowanie w tej kadencji: 8 października 1982 roku.

- Stenogram z tego posiedzenia zginął z biblioteki sejmowej a duplikatu nie wydają.

- Mnie na tym posiedzeniu nie było. Przyjechałem do Warszawy, ale nie poszedłem na salę. Złożyłem mandat i rezygnację w kancelarii. W miesiąc później poprosiła mnie marszałek Halina Skibniewska. Powiedziała, że kancelaria nie nadała sprawie biegu, że rozmawiała o mojej decyzji z innymi posłami bezpartyjnymi, a jak ją znam to sądzę, że i gdzie indziej, i bardzo mnie prosi w ich i swoim imieniu, żebym to jeszcze raz przemyślał i wycofał rezygnację. Byłem wtedy bez pracy, jednak trochę podłamany i wróciłem.

- Tak, widziałem Pana często - w muszce pod szyją, zawsze eleganckiego, przemawiającego z trybuny plastycznym językiem malarza, używającego poetyckich określeń, jak choćby "owiany duchem trudno osiągniętego porozumienia"... Czy nie jest Pan anachroniczny w tym Sejmie?

- Ja? Jeśli ktoś jest snachroniczny, to nie ja. O ile oczywiście, traktujemy Sejm poważnie.

- Więc sądzi Pan, że ludzie Pańskiego pokroju powinni próbować znaleźć się w Sejmie?

- Tak, choć mam świadomość, że to będzie zły Sejm. Zły, bo zła jest instytucja PRONU, który nie przekonał mnie do siebie i nie jestem w tym osamotniony. PRON nie jest, przynajmniej na dziś, reprezentantem tych poczynań, które jako społeczeństwo chcielibyśmy widzieć. Weszły do niego trzy partie i trzy grupy bezpartyjnych katolików, a to tylko wycinek polskiego ruchu katolickiego. To samo dotyczy bezpartyjnej inteligencji, reprezentowanej w PRONie. To są tylko fragmenty większej całości, a więc organizacja jest szczątkowa, prowadzona przez rząd, nie mająca samodzielności i zaufania społecznego.

- PRON zgłosił swe uwagi na temat ordynacji wyborczej. Zna Pan tę opinię?

- Tak. To była dyskusja wokół drobnych spraw - 18 czy 21 lat, męż-

czynna czy kobieta, 500 czy 460 posłów. Akt mało szczyry a problemy zastępcze. Takiemu ciału jak PRON trudno dziś zaproponować coś społeczeństwu, bo ono byle czego nie przyjmie, natomiast na coś więcej nie atak PRON.

- Ma Pan przesłanie dla nowych posłów?

- Chciałbym, żeby znalazło się chociaż kilku, którzy reprezentowaliby bezpartyjnych.

- Jaką widzi Pan dla nich drogę na Wiejską?

- Taką samą, jaką przeszedłem. Można na nią wkroczyć, można na niej wytrwać i można bez zensdy reprezentować bezpartyjnych. Jeśli za Gierka mogło się nas kilku znaleźć, to powinni być i teraz, w tej nowej, lepszej kadencji.

Rozmawiał Andrzej Krajewski

Minione i następne cztery lata

1

We wrześniu 1980 napisałem w "Polityce", że 31 sierpnia 1980 roku będzie w przyszłości dla historyków takąż cezurą polskich dziejów, jaką jest 1 września 1939, tyle że nie tragiczną, lecz wysoce dramatyczną. Również jak wówczas nie będzie powrotu do starych metod rządzenia.

Po 4 latach - przynaję - wydać się może, iż zbyt wysoko oceniłem siłę solidarnej sierpniowej burzy 1980 roku. Niemniej obstaję przy swoim. Przy wszystkich stworzonych dawnymi sposobami pozorach nowej msłej stabilizacji, dalekosiężne konsekwencje sierpniowego wstrząsu pozostały żywe. Jest to naturalna konsekwencja starego prawidła zakodowanego w ludowym przysłowiu do trzech razy sztuka!

W jednym jak dotąd socjalistycznym kraju kolejne trzy ekipy administrujące państwem zawiodły. Dla każdego socjalistycznego społeczeństwa byłby to szok katastroficzny. Tym więcej, że tym razem obciążał społeczeństwo olbrzymimi kosztami nieudolnej, woluntarystycznej, nieodpowiedzialnej gospodarki, na długie lata obniżającej standard życiowy narodu - system kartkowy w środku Europy po 40 latach rządzenia! - i zobowiązującej naród do odpracowania miliardowych długów zaciągniętych na Wschodzie i Zachodzie, na Północy i Południu. Nawet Brazylii musimy spłacić w najbliższych latach milisrd dolarów!

W tej sytuacji, oparcie polityki społecznej na założeniu, iż należy skupić się zatem na patriotycznym odrodzeniu narodu jest dla mnie niezrozumiałe. Gdyby powstał silny patriotyczny ruch na rzecz odrodzenia zakotwiczonej w Konstytucji PRL partii i jej stronnictw sojuszniczych, a równoległe patriotyczny, ogólnonarodowy ruch na rzecz naprawy Rzeczypospolitej, nie wahałbym się ani chwili z przystąpieniem do tego drugiego ruchu, zakładając, iż będzie on rzeczywiście ogólnonarodowy, a więc oparty o autentyczny dialog między społeczeństwem i władzą i uznający pluralizm jako istotną cechę także i naszego narodu.

Niestety to dotąd nie nastąpiło i może to mieć, obawiam się, skutki tragiczne. Mówię to z całą odpowiedzialnością starego, doświadczonego dostatecznie historią kraju obywatela Rzeczypospolitej.

Pragnę tu przypomnieć z całym naciakiem, że mimo uzasadnionego, ogromnego sierpniowego wzburzenia, nie zginął od kuli robotniczej ani jeden człowiek i żaden akt samosądu nie nastąpił wobec winowajców

narodowego nieszczęścia, choć były wzorce po temu w innych krajach.

To zaś, czego się przerażliwie boję, a wiem, że ta bojaźń dręczy dziś wiele polskich umysłów i serc w kraju i w rozproszeniu, to strach przed kolejnym, nie zawinionym przez naród kryzysem władzy, z jego wszystkimi nieobliczalnymi konsekwencjami.

2

Narastająca nowa fala propagandy sukcesu staje się już wielkim psychologicznym błędem. Wszyscy wiemy, że Polski z tego niżu ekonomicznego bez pomocy Wschodu i Zachodu nie wydobędziemy, choćbyśmy się zapracowali do kresu sił. A pomoc ta przyjąć może tylko w odmierzonej sytuacji międzynarodowej. Kiedy ta odmiana nastąpi, tego dziś nikt nie wie. Ale weźmy wsriant dla nas najkorzystniejszy, że nastąpi to już w roku przyszłym. Proces odprężenia po lodowstę tym razem wojnie wymaga, jak wiemy z doświadczenia lat 50-ych, długiego czasu. Ale dla nas nikt nie będzie się spieszył. Pierwszej więc widocznej w skutkach pomocy można się spodziewać najwcześniej na przełomie 1986/87 r. Pierwszym rokiem małej stabilizacji i większych nadziei mógłby być zatem rok 1988. Tych ciężkich bardzo czterech lat, a może pięciu czy sześciu, nie przeżyjemy karmieni nową propagandą sukcesu.

Na te ciężkie bardzo co najmniej cztery lata musimy mieć wspólny, ogólnonarodowy program polityczny, w jaki sposób, jak najmądrzej przetrzymać niekorzystną dla nas międzynarodową konstelację, aby bez niebezpiecznych szamotań i groźnych frakcyjnych prób sił móc przetrwać te kilka wysoce trudnych lat.

Aby to osiągnąć, trzeba rządzącym wejść w układy ze wszystkimi ugrupowaniami pozaparlamentarnymi, z lewa, prawa i z centrum, bo ta większość pozaPRONowa społeczeństwa nie jest monolitem, a to co ma wspólnego z sobą, to absolutnie negatywny stosunek do kontynuacji metod rządzenia sprzed sierpnia 1980 roku.

Polityka jest sztuką kompromisu. Możliwość prowadzenia dalej polityki przywracania starego porządku - początkowo przywracania starych mechanizmów, z kolei zakamuflowanym w rozporządzeniach ministerialnych bezprawiem, wreszcie argencją władzy - zdemoralizował już trzy rządzące ekipy. Na luksus czwartej demoralizacji nie możemy sobie pozwolić. Pamięć o 1980 roku nie wygasła i nieprędko przestanie być najważniejszym elementem politycznym współczesnej Polski.

Okres, który mamy za sobą, rozpoczął się ujawnieniem karygodnej, miliardowej afery finansowej, a zakończył się wspólną amnestią dla winowajców tej afery i dla najostrożniej protestujących przeciwko niezawinionym przez naród dotkliwym skutkom tej afery.

Do tego przecież sprowadza się historia minionych czterech lat. Udawać, że nikt o tym nie wie i kszać narodowi, aby się odradzał i czynił pokutę poszcząc pięć dni w tygodniu przez niewiadomą ilość lat, jest naprawdę co najmniej nierozsądne.

3

Jedyny odpowiedzialny program polityczny na następne cztery lata to skoncentrowanie wszystkich sił narodu na rzeczywistą naprawę państwa, a więc nie tylko obywateli raczej starszych pokoleń, skupionych w PRON, nazwijmy ich monistami, ale i obywateli, głównie młodych pokoleń, myślących swoje poza PRONem, dla uproszczenia nazwijmy ich pluralistami.

Nazwy te oddają istotny charakter zwolenników PRONu i myślących odmiennie. Jako stary działacz Frontu Jeności Narodu znam pozytywne i negatywne aspekty programu zwoływania się pod hasłami jedności i patriotyzmu. Sam trzykrotnie - przysnę bez skruchy - zawierzyłem, że pozytywne zwyciężą. Nie byłem w tym odosobniony. Nasz naród jest w większości patriotyczny, jest dobrej woli, toteż gotów był trzykrotnie na zawołanie: pomożecie? odpowiadać: pomożemy! Ale dziś żąda

i ma prawo żądać gwarancji.

To nie są żądania intelektualistów, jak po pierwszym kryzysie, a ni dysydentów, jak zwykle się mówiło po drugim wstrząsie. Teraz gwarancji żądają urodzone w Polsce Ludowej pokolenia, które w roku 1988 będą stanowić ponad 80 proc. narodu.

Absolutna większość tych młodych pokoleń jest poza PRONem. One zatem już dziś są główną siłą polityczną naszego kraju i nierozmawianie z nimi z pełnym poszanowaniem ich języka i odmiennych sposobów myślenia, jest marnotrawieniem jedynej realnej szansy wyjścia z kryzysu 1980 roku.

Takie są realia Polski na jesień 1984 roku i trzeba z nich wyciągnąć realne wnioski.

Pierwszy wniosek to ten, że dialog powinni prowadzić ludzie rzeczywiście rozumiejący potrzebę, ba, konieczność, dialogu i gotowi szanować jego prawa.

Drugi wniosek, to potrzeba zastanowienia się, jakie formy dialogu należy przyjąć i jak ma się on rozpocząć i toczyć, aby rozmowy miały szansę wypracowania rzeczywiście ogólnonarodowego programu na następne cztery ciężkie lata.

Im więcej roztropności, rozważli i umiaru każda ze stron wniesie do tego dialogu, tym większe będą szanse na uniknięcie w następnych latach kolejnego wstrząsu o nieobliczalnych już konsekwencjach.

Edmund Osmańczyk

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/

DZIECI PRLu

Jacy jeateśmy? Gdzie idziemy?

Czy rzeczywiście można mówić o MY, czy też tylko o luźnym zbiorze JA. Może jest jakieś MY. Może jest inne, osobne.

..

Żyjemy wśród ludzi. Różnych. Część z nich już nie żyje. Część nigdy nie żyła naprawdę. A jednak są oni wśród nas. Starsi przyjaciele, postacie historyczne, bohaterowie literacy.

Żyjemy na przecięciu trzech płaszczyzn świadomości. Rzeczywistości, tradycji historycznej, kultury. Te płaszczyzny nakładają się na siebie, przenikają, uzupełniają wzajemnie. Są całością, która nas stanowi. Bo jest w nas żywe zarówno miasto każdego dnia widziane przez okno, jak i nieistniejący już, rozległy i cichy step.

..

Przyglądam się tym, którzy mnie otaczają. Zdziwiony rozglądam się wokół siebie. Przecinające się płaszczyzny świadomości tworzą pociągającą, choć nie do końca zrozumiałą, oniryczną całość.

Savonarola grający w oczko z Andrzejem Kmicicem /pseudonim okupacyjny - Andrzej Babinicz/. Franciszek z Asyżu uśmiechający się porozumiewawczo do Brunona Jasińskiego. Obok ze zrozumieniem kiwają głowami Witkacy, Pawła Korczagin i Tadeusz Kościuszko.

Jest coś, co ich wszystkich łączy. Jakaś niewidoczna nić sprawiająca, że dobrze się czują ze sobą. Doskonale się rozumieją.

I tylko my, mała grupka równieśna, stoimy wyrażnie z boku. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nie pasujemy do tego towarzystwa. Nie łączy nas ta nić wiążąca tamtych. Choć zdajemy się ją widzieć, możemy

nieomal dotknąć jej palcem. Mamy mgliste przecucie, że ją rozumiemy. Że rozumiemy ich wszystkich.

..

Religie, szkoły filozoficzne, systemy polityczne...

Zawsze na przestrzeni historii ludzie dawali się porywać jakimś ideom. Stawały się one naturalnym spoiwem ludzkich wspólnot. Łączyły w klasy, wyznania, szkoły. Stawały się wartościami nadrzędnymi. Pośisdały nieprawdopodobną moc przekształcania słów i rzeczy w uświęcone symbole. Potęga tych symboli porywała i przerażała zarazem. Ideom upostaciowionym w tych symbolach oddawano cześć, zdrowie i życie. Poświęcano swe życie i swoją śmierć.

Całkowite oddanie idei ocenisno pozytywnie. Różnie oceniano tylko poświęcenie się tej, a nie innej idei.

Mówiono - wiara, konsekwencja, fanatyzm.

Wybór akurat takich określeń zależał tylko od tego, kto ferował oceny. Wróg czy przyjaciel. Ale ludzi nie zaprzęgniętych, przynajmniej biernie, w służbę idei nie było. Lub też było ich tak mało, że w ogólnym rachunku nie liczyli się wcale.

..

Ktoregoś wieczoru rozmawialiśmy o tym wszystkim w kilkoro. Przewijająca się taśma magnetofonowa kontestowała rzeczywistość polityczną kraju za oceanem. W łagodnym chłódzie wieczoru stygła herbata i podnosiła się temperatura wódki. Nagle Piotr z niedowierzaniem rozejrzał się wokół.

- Oni wszyscy... - powiedział - To wprost niesamowite, oni potrafili coś, czego żaden z nas nie potrafi. Potrafiłi uwierzyć w istnienie jskiejś racji nadrzędnej, która stawała się dla nich ważniejsza niż cokolwiek innego. Nsd siebie samych nswet.

I jeżeli tak właśnie spojrzymy na świat, jeżeli spojrzymy nsń przez pryzmat zdolności oddania się idei jako takiej, to nie będzie większej różnicy między rozmodlonym Franciszkiem z Asyżu a krwawym katem Rosji - Feliksem Edmundowiczem Dzierżyńskim.

Różnica pojawia się dopiero wówczas, gdy zaczniemy mówić o praxis. O obiektywnym dobru czy złu powodowanym urzeczywistnieniem idei. Ale w tej chwili zupełnie nie chodzi mi o moralną ocenę ludzkich czynów, praktycznych skutków wcielania w życie idei. W tej chwili chodzi tylko o konsekwentne oddanie siebie wyższym racjom. A to wymyka się wartościowaniu etycznemu.

- My tego nie potrafimy - mówiliśmy.

I w słowach tych była kropla zazdrości.

Nigdy nam nie będzie dane doświadczenie identyfikacji z ideą, ruchem. Nie doświadczymy uczucie wszechogarniającej wspólnoty z grupą nam podobnych. Nie będzie nam dane ze ślepym posłuszeństwem iść tam, gdzie należy iść. Bez względu na to, czy ma to być zagroda kułaka, postunek carskiej ochrany, czy żydowski sklepik. Tłum nie budzi w nas ukojenia. Budzi strach.

W konsekwencji nie będzie nam dane wznowić operetkowych okrzyków wprost w ciemne tunele luf plutonu egzekucyjnego. Albo też ból przewartościowania, gdy wiars zawali się z hukiem. Kiedy stanie się jasnym, że była tylko nietrwałym zlepkim gówna i domku z kart.

Ts zazdrość jest uzasadniona. Nasza niewisra, odporność na fsnatyzm, nasz sceptycyzm zubożają nas. Zarówno intelektualnie jak i emocjonalnie.

..

Tak, zazdroścę wam wszystkim. To musiało być wspaniałe. I - bez ironii - upajające. Łopot sztandarów nsd głowami. Być zaledwie częścią identycznie myślącej i czującej wspólnoty. Słyszec chrzęst szkła

z szyby wybitej w żydowskim sklepieniu pod stopą. Rzucić całemu światu pełne tupetu wyzwanie. Nie potrafiłem. Nie potrafię.

..

Ale wszystko rządzi się prawem paradoksu. Bowiem z drugiej strony to wszystko ma także i swoje plusy. Potrafiłmy do życia, do świata podchodzić z ironicznym dystansem. Nie dajemy się nikomu i niczemu nabierać. Nie uds się na wmsnewrować w sytuację, w której bylibyśmy zmuszeni postępować wbrew sobie. Nawet mimochodem. Czy w dobrej wierze. Także krach idei nie będzie naszym krachem. Naszą, bardzo osobistą, klęską.

..

Taka postawa nie wzięła się z powietrza. Nie wzięła się z nikąd. Nie mogła. Musiała mieć jakieś korzenie.

Zacznijmy od rodziców. Tych bezpośrednich poprzedników, których przygody życiowe zaciążyły na naszym widzeniu świata.

Nie zawsze byli szarzy, bierni i przerażeni. Kiedyś mieli po tyle lat, co my dzisiaj. Mieli wiarę i mieli nadzieję. Także miłość. Chcieli zbawić świat i byli przekonani, że to im się uda. Ale przeszli przez doświadczenia trzech wielkich katastrof. Aż dziw, że po tym wszystkim chciało im się nie tylko żyć, ale i nas spłodzić.

Najpierw, w dosłownym tego słowa znaczeniu, upadła cywilizacja europejska. Kultura okszała się nie trwała, niewzruszoną opoką, a jeszcze jednym mitem. Rozpadł się świat. Słowa, symbole straciły swoje proste, jednoznaczne desygnaty. Zachowania, które jeszcze niedawno uchodziły za nieludzkie, okazywały się normalnymi. Radość, że kogo innego zabrało gestapo. Obojętność na widok zwłok leżących w poprzek jezdni. Gotowość na śmierć za kawałek chleba. Śmierć własną, lub cudzą.

Z końcem wojny zawitało do tego kraju zwycięstwo, które okazało się kolejną klęską. Przyszła niepodległość, która okazała się kolejną niewolą. W miejsce eksterminacji ciał wprowadzono eksterminację dusz.

Nastał czas masowych pieśni i masowego strachu. Pozornie radosne i kolorowe pochody przysłaniały szary mundur codzienności. Mundur pracownika Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Oprawcy nie mówili już po niemiecku. Mówili po polsku i było to bardziej przerażające. Jest bowiem daleko normalniejszym w swej nienormalności być zadaniem przez gestapowskiego szpicla, niż przez żonę czy dziecko.

Aby zagłuszyć strach oddawano się sztucznej euforii pochodów i marsów. Machano chorągiewkami. Skandowano hasła, by zagłuszyć krzyk katowanych. Skandowano: Stalin - Bierut, Stalin - Bierut! W pełnym biegu z zebrania na zebranie. Oklaski do bólu dłoni. Głosowania, odcinanie się od. Jeszcze potępić zbrodnie imperialistów amerykańskich w Korei, napiętnować prezydenta Tito - łańcuchowego psa imperializmu. Wyciąć niesprawnymi, dziecinnymi rączkami kilka szóstek z kartonu - przedszkola też muszą mieć swój wkład w realizację Planu Sześcioletniego. Ulepić papierową kukłę Trumana na pierwszomajowy pochód. I ciągnąć strach, ciągnąć napięcie. Nie można się spóźnić. Trzeba uważać, by pierwszemu nie przestać klaskać mówcy. Pilnować się, by nie mówić przez sen na kolejnej kurso-konferencji. Wszystko będzie zapisane. Ze wszystkiego rozliczą. Wojna o pokój to wycieńczająca wojna nerwów. Więc nawet przez sen zerwać się i krzyknąć: Stalin - Bierut, Stalin - Bierut...

Schizofrenia zaszła tak głęboko, że wielu naprawdę płakało, gdy w marcu 1953 roku zmarł jeden z największych ludobójców w dziejach świata. I wiele było szczyrych łez, gdy nagle zmarł kat o wyglądzie starszego referenta z magistratu - towarzysz Tomasz.

Potem był rok 1956 i uwierzono, tak z dnia na dzień, że uda się uratować cywilizację, niepodległość, godność i parę innych wartości.

Uwierzono, że nawet najgłębsze rany można zaleczyć, zagoić. Nsgle, na oczach zdumionego świata, przesunęła się, zdawało się ustalona po wsze czasy, granica między Europą a Azją. Jeszcze raz ten naród odechnął czystym powietrzem.

Powrót do normalności pozwolił przywrócić słowom ich prswdziwe znaczenie. Słowo socjalizm zajaśniało nagle nowym światłem. Okazało się, że morderca można nazwać po prostu mordercą, a nie Ojcem Ludzkości. Nagle "zapłuty karzeł reakcji", żołnierz Armii Krajowej współpracujący - jak wiadomo - przez całą wojnę z okupantem stawał się go-rącym patriotą. W Urzędzie Bezpieczeństwa przestano wbijać drzazgi pod paznokcie. Ludzie straceni w majestacie prawa, ludzie na których groby pluto, oczekiwali się pośmiertnej rehabilitacji, co niwątpli-wie poprawiało im samopoczucie. Od tego wszystkiego kręciło się, wi-rowało w głowach. Wszyscy byli przekonani, że witają świt po koszarnej nocy.

Jednak ludzie wyniesieni na fali społecznego entuzjazmu nie spro-stali historycznej szansie. Nie byli w stanie. Kiedy za opłotkami krwawił Budszeszt, Warszawa powoli, krok po kroku, zaczynała wracać do normy. Zdobyte małej rewolucji rozmyły się przedziej, niż zauważyli to jej orędownicy. Łąbedzim śpiewem tego okresu była szarża mili-cji na studentów protestujących przeciwko likwidacji tygodnika "Po Prostu". Ich tygodnika.

Pszdziernik. Październik przez duże, bsrdo duże "P". Polski Paź-dziernik. Pod tymi nazwami przeszedł do historii krótki okres zswie-dzionych nadziei naszych rodziców. Krótki okres zamknięty nawiasem strzelania do robotników Poznania i nawiasem pałowania studentów z Warszawy. Dla wielu były to ostatnie podrygi wiary w siebie.

Nie zdołano ocalić niczego. W spačku po wielkiej nadziei pozostał gigantyczny kac. I w przytlaczającym cieniu tego kaca zaczynaliśmy życie. My - dzieci peerełu.

..

Z takim bagażem zaczynaliśmy stawiać pierwsze świadome kroki w rzeczywiście naszego kraju. Odziedziczony kac kszął mieć oczy szeroko otwarte. Kazał bacznie rozglądać się wokół siebie.

Któregoś marcowego dnia świat przerósł naszą zdolność pojmwania. Zdolność nazywania. Na nic okazała się ostrożność i podejrzliwość.

Nie potrafiliśmy pojąć dlaczego milicja bije studentów. Dlaczego na śmierć za życia skazano Pawła Jasienicę, z którego książek uczy-liśmy się przywiązania i szacunku dla przeszłości tego kraju. Nasze-go kraju.

Nie potrafiliśmy zrozumieć dlaczego kolega z klasy okazał się na-gle gorszy od nas. Tylko dlatego, że nosił obcobrzmiące, niezbyt a-ryjskie nazwisko.

Zresztą, co to znaczy - niezbyt aryjskie? Na dobrą sprawę nikt z nas nie wierzył wtedy w istnienie Żydów. Myśleliśmy, że to nazwisko niemieckie. Ostatecznie u nas, w Gdańsku, tskich nazwisk było sporo. A tu raptem Andrzej, siedzący w ławce przede mną, okazał się Żydem.

I od razu pierwsze naiwne zdziwienie - co to znaczy być Żydem? Po czym odróżnić Żyda? Andrzej nie nosił jarmułki, ani pejsów. Nie miał na imię Mojżesz. A tylko takich znaleźliśmy na pożółkłych, przedwo-jennych fotografiach. Nie modlił się do Jehowy. I to nie tylko dla-tego, że jedyną synagogę w naszym mieście przerobiono na szkołę mu-zyczną drugiego stopnis. Chodził, jak wszyscy, na religię. Na relę - jak mówiliśmy. Miał kłopoty z rosyjskim. Nie znał jidisz, ani tym bar-dziej hebrajskiego. Razem z nami palił sporty w ubikacji podczas du-żej przerwy. Pił pierwsze butelki wina w kacie szkolnego boiska. Tak jak ja kochał się w Teresie, która miała największy biust w klasie i była moją zastępczynią. Zastępczynią przewodniczącego klasowego ko-ła Związku Młodzieży Socjalistycznej. A więc w jaki sposób objawiało

się w nim owo tajemnicze żydostwo? Co powodowało, że pewnego dnia opuścił s w o j ą szkołę, wyjechał ze s w o j e g o miasta? Jego pusta ławka długo jeszcze przyciągała wzrok. Czuliśmy się winni. Chociaż trudno nsm było wytłumaczyć czego ta wina miałyby konkretnie dotyczyć.

I tylko psn od biologii wazeli do klasy po wyjeździe Andrzeja, uśmiechnął się i powiedział:

- No, nie ma już Żydka...

Pan od biologii nie miał potem z nami życia.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na nasze pytania. A stawialiśmy ich wiele. "Ptaki - pytaki" jak śpiewał - choć nie o nas - Jonasz Kofta. Wszelkie odpowiedzi odrzuciły nas. Rozpiętość między prawdą prasy, a prawdą domu układała się w nieprzebyty labirynt. Byliśmy jeszcze zbyt czysti, czy może zbyt naiwni, aby przyjąć którąkolwiek zą swoją.

W chwilę później okazało się, że jesteśmy państwem okupacyjnym. To był szok. Przecież wychowano nas w przeświadczeniu, że to raczej nas się okupuje. Że Polacy to taki prawy i sympatyczny naród, który nigdy nikogo nie gnębił. Co najwyżej feudałowie chłopów pańszczyźnianych, bo i kapitał przeważnie był tu obcy. A jednak polskie czółgi wyruszyły z baz. Przekamaly graniczne szlabany. Znow jakis Kijów, San Domingo, Zaolzie. Jak to śpiewał Karel Kryl? "W Hradcu Kralovem, w Hradcu Kralovem polska okupacja".

W sierpniową noc, w pociągu, pijany marynarz z płaczem zaczął powracającego znad morza Czecha.

- Historia się powtarza, bracie. Za rok i nam przypierdolą. Jak wtedy, za Zaolzie...

Ale wtedy już nikt nie wierzył w sprswiedliwość wyroków historii.

Jeszcze nie do końca przebrzmiały echa naszych pytań, kiedy wzbuchły strzały na Wybrzeżu. Chodziliśmy jeszcze do liceum. I nie do końca rozumieliśmy istotę tego, co rozgrywało się tuż pod naszymi oknami. Wydawało się nam lekką przesadą iść pod lufy tylko dlatego, że baleron będzie droższy. Ale może i były inne powody. Tego wtedy nie wiedzieliśmy. To nie była nasza sprawa. Chociaż za oknami, na mokrych ulicach, ginęli niewiele starsi od nas. Ale trzeba było lat by zrozumieć, że to także my ginęliśmy w ciałach naszych kolegów.

Trupy na ulicach. Tego też nie mogliśmy zrozumieć. Po raz pierwszy na naszych oczach Polacy strzelali do Polaków. Po raz pierwszy, bowiem Poznań 56 był tylko jedną z okupacyjnych opowieści naszych rodziców. Trudno było zrozumieć, że prasa pisze zupełnie co innego niż widzieliśmy na własne oczy. Trudno było zrozumieć dlaczego pogrzeby pomordowanych odbywają się nocą. Głupia, magiczna wiara, że noc jest szczególnym workiem, z którego już nic nigdy nie ds się wydobyć.

Po grudniowej lekcji wychowania obywatelskiego nie mogliśmy także pojąć skąd w ludziach tyle siły, by zdobyć się na zsfanie do nowej ekipy partyjnej. W nas była, szczeniacka jeszcze, pewność, że grudzień nie był ewenementem. Nie był wypadkiem przy pracy, potknięciem na słusznej drodze do socjalizmu. Domyślaliśmy się, że tego typu potknięcia są żelaznym prawem systemu.

Jednak z pytaniami przestaliśmy wychodzić z własnego kręgu. Wiedzieliśmy, że nikt nie udzieli nsm satysfakcjonującej odpowiedzi. Ufność już wypaliła się w nas. Po raz pierwszy sami próbowaliśmy odpowiadać na swoje wątpliwości. Odrzuciliśmy, zanegowaliśmy wiele z tego, co mogłoby stać się naszym udziałem. Mogłoby, gdyby na naszych oczach nie skompromitowało się doszczętnie.

Brodaty Marks i skośnooki Lenin budzili w nss zabobny lęk. Tak samo jak w dzieciństwie Baba Jaga. Tak samo jak tłum. Takie pojęcia, jak marksizm, komunizm, socjalizm stały się nam obce i obojętne. Jesli nie wręcz wrogie. To odrzucenie nie było aktem intelektualnego wyboru. Było czysto emocjonalnym odruchem. Tym bardziej ostatecznym.

Trzeba było wielu lat, rozmów i lektur by część z nas odkryła, że istnieje inny socjalizm. Że to, co dzieje się w naszym kraju, nie ma z socjalizmem nic wspólnego. Słowo socjalizm było trudno przyjąć. Było obciążone zbyt wieloma niepięknymi znaczeniami. Ale w końcu атаło się nasze. Inne, trudne, gorzkie i pełne nadziei.

Doświadczenie przekazane i własne kazały wreszcie myśleć. I postawić problem najbardziej złożony. Co to jest Polska? Polskość. Patriotyzm. Jak się w tym wszystkim czujemy. Na ile nas to tak naprawdę dotyczy.

Rozwiązanie nie było proste.

Oczywiście, uczą nas kochać Ojczyznę. Odtąd - dotąd. Na pamięć. Na śmierć. W szkole było to równanie z jedną niewiadomą: $x = \text{Polaka}$. I wszystko było jasne. Jutro wyrwani do tablicy straceni będziemy odpowiadając na pytanie: Dlaczego należy kochać Ojczyznę...

- No, dlaczego?

Często zatrzymuję się przy tym stoisku. Biorę do ręki lekkie opakowanie. Ważę przez chwilę w dłoni. Przyglądam się kolorowej etykiecie. Napis znam już na pamięć - "MAŁY PATRIOTA". Skład: wierzba płacząca - sztuk jeden, szczerbiec - sztuk jeden, kopiec Kościuszki - sztuk jeden, spieniony nurt Elstery j.w. Przed użyciem wstrząsnąć".

Nie otwieram. Nie wstrząsam. Cholera wie, może wybuchnie? Delikatnie odkładam na miejsce. Pewnie tu jeszcze wrócę. Albo... Albo powtórzę ten wiersz, w którym Jasiński próbował naśladować Majakowskiego:

"Jak zęby, powybijane

w atarciach demonstracji,

Wypłunałem

z okrwawionych ust

Słowa:

"rodak",

"ojczyzna"

i "naród" "

Jak to się zaczęło? W każdym z nas z osobna. Bo w tym wypadku trudno mówić o wspólności. W tak intymnych sprawach każdy jest sam, tylko ze sobą. Przynajmniej na początku. Dopiero u końca tej drogi miało aię okazać, że jesteśmy nieomal w komplecie. Że zabrakło wśród nas tylko tych, którzy śpią z książkami Dmowskiego pod poduszką.

A więc - Jak to się zaczęło?

Patriotyzmu zaczęto mnie uczyć gdy chodziłem w krótkich spodenkach. Polskość była moim popisowym numerem na rodzinnych przyjęciach. Cóż, nie umiałem grać ani śpiewać. Polskość była więc swoistą kompensatą braku talentów.

Kiedy mijał gwar powitań babcia wołała mnie do siebie. Sadzała mnie sobie na kolana i zaczynaliśmy, zawsze ten sam, dialog.

- Kto ty jesteś?

- Polak mały.

- Jaki znak twój?

- Orzeł biały.

I tak, drobnym patatajkiem, lecieliśmy cały ten dabilny "Katechizm polskiego dziecka" Władysława Bełzy. Zazwyczaj w zupełności to wystarczyło by rozculić gości.

- Taki mały - wzruszała się nieodmiennie któraś z ciotek - a taki inteligentny. No, no.

Ale nie była to inteligencja. Była to tresura.

Kiedy grymasiłem przy bigosie dziadek, marszcząc groźnie brew, pouczał mnie:

- Jeść bigos, kochany, jest obowiązkiem każdego prawdziwego Polaka. Tak. To na pamiętkę tego, że król Krzywousty na Psim Polu zrobił kiedyś z Niemców bigos.

Odwalałem więc swój patriotyczno-kulinaryny obowiązek. Jadłem kapustę z drobno posiekany mięsem z Niemca. Z niechęcią, ale do końca. Bałem się, że w przeciwnym razie stanę się Niemcem właśnie. Albo w ostatecznej konsekwencji, co gorsza, Żydem.

Albowiem nie ma u nas rzeczy gorszej niż być Żydem.

Polska to zabawny kraj. Mieszkają tu niebywale zabawni ludzie. Nikt z nich nie jest antysemitą. Antysemityzm jest jak niemodny strój, którego nie nosi się w dobrym towarzystwie. Ale w rozmowie zawsze musi paść.

- To uczciwy człowiek. Chociaż Żyd.

- Ja tam nie mam nic przeciwko Żydom. Z jednym to się nawet przyjaźnię, wie pani?

I nie ma w tym złych intencji. To mimowolne. Jak podświadomość. Podświadomość narodowa.

Być Żydem niedobrze. Chociaż antysemityzmu w Polsce nigdy nie było. Antysemityzm Polaków to wymysł czerwonej propagandy. A w ostateczności samych Żydów.

Kulturalna pani patrzy na mnie z oburzeniem.

- Antysemityzm przed wojną? Narodowcy bili Żydów na uczelniach? Ależ panie Antku! No może czasami, jakieś tam drobne incydenty. Ale przecież oni sami byli temu winni. Tak, tak, niech pan nie wzrusza ramionami. Przecież oni nie chcieli siedzieć na miejscach, które im wyznaczono.

Inna starsza pani /przed wojną OWP, po wojnie PZPR/ z żarem w oczach przekonywał mnie, że tę macę to oni chyba naprawdę z krwi nie-mowląt.

- Bo wie pan, nie ma dymu bez ognia. W każdej plotce jest jakieś ziarenko prawdy.

Ale w Polsce nie ma antysemityzmu.

Rzadko do końca życia pozostaje się na etapie klepania patriotycznych paciery. W okresie dojrzewania rodzi się krytycyzm. Często podszyty przekorą. W książkach i w życiu szuka się przede wszystkim potwierdzenia powodów odejścia od wygodnej wiary dzieciństwa. Uważniej przypatrujemy się własnemu narodowi. Refleksje nie są najweselsze. "Jeżeli naród jest aktywną wspólnotą kultury - pisze profesor Leszek Kołakowski - jeśli więc żyje o tyle, o ile się czuje podmiotem tego życia, czyli odpowiada za siebie, to najskuteczniejszym sposobem zniszczenia narodu jest pozbawić go samego tego poczucia odpowiedzialności, sprawić, aby u w i e r z y ł w to, iż na skutek własnej bezziały albo małoletności, albo okoliczności zewnętrznych zmuszony jest żyć tak, jak mu każą inni. Naród, który by uwierzył, że jest bezwzględnie pozbawiony wolności moralnej, straciłby wszelką nadzieję odzyskania jej kiedykolwiek. Więzień, który sądzi, że nie rozporządza już żadnym stopniem wolności, zostaje donosicielem lub prowokatorem, gdy go o to poproszą; niewiara we własną wolność wystarcza, by upodlenie stało się pełne".

..

Ten naród to zmęczeni ludzie. Ludzie nie mający już sił by w cokolwiek uwierzyć. Przerażająca okupacja, czy raczej samookupacja, wytrzebiła pokolenia naszych ojców i starszych braci.

Gdzie więc mieliśmy szukać Polski, skoro nie było jej wokół nas? W pogoni za Ojczyzną nauczyliśmy się uciekać w historię. Ślepo zapatrzyliśmy się w przeszłość. Żyliśmy tam. I z każdym dniem trudniejsze były powroty z wczoraj w dzisiaj. Aż przyszło opamiętanie. Znów dzięki komuś - tym razem był to Joseph Kossuth - odkryliśmy smutną prawdę: "Kraj, który po własną godność musi się wyprawiać ku swojej przeszłości, nie jest miejscem, w którym się radośnie żyje".

..

Powoli nabieraliśmy pewności, że ten naród, po długim i burzliwym życiu umiera. Wszelkie próby ratowania skazane są na niepowodzenie. Można tylko przedłużać agonię. Nie jest to jednak humanitarne.

..

A może problem należało postawić zupełnie inaczej? Na przykład tak - Czy patriotyzm w ogóle istnieje? Albo jeszcze inaczej - Czy patriotyzm nas dotyczy? Bo może być i tak, że mówiąc o nim posługujemy się pojęciem nie posiadającym desygnatu. Może straciło ono swe stare znaczenie, a zyskało nowe, którego sensu nie potrafimy jeszcze ogarnąć? Czyli podzieliło los wielu innych słów i pojęć gubiących i zmieniających sens w czasie.

Aleksander Sołżenicyn napisał - "jeżeli reżym jest niemoralny - poddani wolni są od wszelkich zobowiązań wobec niego".

Jedną z podstawowych cech systemu totalitarnego jest identyfikacja pojęć Ojczyzna i Państwo. Identyfikacja Ojczyzny i Aparatu Władzy. Przebiega to w myśl wypróbowanego hasła: JEDEN NARÓD - JEDNA PARTIA - JEDEN PIERWSZY SEKRETARZ. Czy tego chcemy, czy nie, identyfikacja staje się faktem. Obok nas, ale i, siłą rzeczy, także w nas. W państwie totalitarnym myślenie o Ojczyźnie w oderwaniu od systemu jest abstrakcyjną spekulacją intelektualną, luksusem pięknoducha. To właśnie identyfikacja powoduje i to, że tak trudno przekroczyć barierę lojslności. W podświadomości zakodowane mamy, że wystąpić przeciwko systemowi jest równoznaczne z wystąpieniem przeciwko Ojczyźnie. Czynimy to w końcu, ale okupując decyzję poważnymi zmaganiem z samą sobą.

Istnieje coś takiego, jak granica wytrzymałości psychicznej społeczeństwa. Władza, jeżeli zależy jej na własnym bezpieczeństwie, nie powinna jej przykraczać. Lecz jedną z cech władzy totalitarnej jest także to, że przekracza wszelkie granice. Także i tę. Kiedy więc "reżym jest niemoralny", gdy stara się pozbawić nas wszelkich praw, sprowadza do roli przedmiotów niezrozumiałych manipulacji, jesteśmy automatycznie zwolnieni z wszelkich zobowiązań wobec tego, co pragnęliśmy nazywać ojczyzną.

Pokolenia Polaków, które weszły w wojnę, nie odmówiły krwi. Także komuniści. Władza w dwudziestoleciu nie zdegenerowała się do tego stopnia, by konsekwentnie być przeciw społeczeństwu. Nie utożsamiała się całkowicie z Ojczyzną. Dziś władza w tym kraju /naszym?/ skierowana jest przeciwko całemu narodowi. Przeciwko każdemu z nas z osobna. I mnie i tobie, i jemu. Przekroczyła wszelkie granice wytrzymałości psychicznej. I, jak każda władza totalitarna, bardzo chce być naszą ojczyzną. Nie jest. Nie będzie.

Aleksander Puszkin zauważył - "W naszych nikczemnych czasach gdziekolwiek człowiek jest, tyranem jest, sprzedawczykiem lub więźniem". Żyjemy w wielkim więzieniu. To więzienie nazywa się Polska. I jest ono już t y l k o więzieniem, niczym więcej. "W naszych nik-

czemnych czasach" mniej istotne stały się poziome różnice między poszczególnymi nacjami, a bardziej pionowe - moralne. Stosujemy kryteria etyczne, a nie etniczne.

Tylko co, w takim razie, zrobić z patriotyzmem. Co zrobić z Polską. Z tą biedną Polską, którą Juliusz Słowacki przyrównał do zdychającego pisklęcia, co:

"Z główką wyciągniętą, bladą,
Z początkiem tylko dziecięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek".

..

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte były czasem upadku autorytetów. Przynajmniej w naszej biografii. W dojrzałe życie wkraczaliśmy jak na pustym, wymarłym placu. Gdzieniegdzie - jak w balladzie Bułata Okudżawy - straszły puste, osierocone cokoły.

W tej pustce w dwójnasób dawał o sobie znać głód idei. Jakiegokolwiek. W zderzeniu z rzeczywistością zburzyliśmy w sobie wszystko. Czuliśmy się osamotnieni. Oszukani. Rozpierała nas potrzeba identyfikacji. Chcieliśmy znaleźć jakąkolwiek grupę ludzi podobnych nam. Przynajmniej trochę podobnych. Rozpad starych idei zmuszał do szukania czegoś nowego, wartości dotąd nieodkrytej. Ale też i takiej, która byłaby w opozycji do tych, które umarły w nas bezpowrotnie. Byliśmy jeszcze na tyle młodzi, że nie wyobrażaliśmy sobie życia bez ciepłego kokona wspólnoty. Potrzeba identyfikacji stawała się z wolna obsesją. Potrzebą biologiczną, jak oddychanie. Mieliśmy za mało wyobraźni i determinacji, aby samotnie wybrać się w życie. Postawa heroicznego outsidersa miała nas pociągać dużo później. Na razie szukaliśmy braci.

I znaleźliśmy. Gdzieś na skraju pustego placu przycupnęła grupka długowłosych. Kolorowe ubrania, sznury koralii. Śpiewali jakieś dziwne pieśni grzejąc dłonie nad ogniskiem. Przyłączyliśmy się do ciepłego kręgu. Na różnych zasadach, z różną intensywnością, każdy z nas przeżył okres hipisowania. Bardzo różnie lokowaliśmy się w tym ruchu. Tak pomiędzy wachaniem TRI, a lekturą "Ucieczki od wolności" Fromma. Nosiliśmy długie włosy i koraliki. Staraliśmy się robić niezgrabnie miłość, chociaż nikt - przynajmniej na razie - nie wymagał od nas robienia wojny. Czasami zdarzało się zapalić trawkę, przy większym szczęściu nawet hasz. Fascynowała nas poezja i muzyka Morrisona, Lennona, Dylana i Cohena.

Ta przygoda nie była nic nie znaczącym epizodem. Ci, którzy flirtu nie przypakali zakładem psychiatrycznym, wyrosli. Tak jak wyrasta się ze starych trampak. Ale to nie były trampki. To była ważna lekcja, której skutki są żywe do dziś.

Przede wszystkim nauczyliśmy się łączenia wierności sobie z autoironią. To najwyraźniej widać w metodach protestu wypracowanych przez tę subkulturę. Metodach przyjętych przez nas. Protest był zazwyczaj przedziwną mieszaniną wrażliwości moralnej z błazeńskim wywaleniem języka.

Było tak, gdy John Lennon zwrócił królowej Order Imperium Brytyjskiego. W załączonym liście wyjaśnił, iż powodem decyzji była zarówno "nieetyczna" polityka zagraniczna Zjednoczonego Królestwa, jak również to, że jego piosenka "Cold Turkey" spada na liście przebojów.

Było tak, gdy zachodniobерliński student Fritz Teufel, określanym mianem politycznego błazna, obrzucił szacha Iranu kisielam. Potrzeba zamknięcia manifestowania niechęci wobec wielkiego tyrana była również silna, co idea nieczynienia przemocy. Swoisty pacyfizm.

Takie metody protestu stawiały problem na zupełnie innej płaszczyźnie. W pozornym bezsensie takich gestów kryła się logika i konsekwencja. Istnieją sprawy, przeciwko którym protestować należy. Choćby dlatego, aby być w zgodzie z własnym sumieniem. Z drugiej jed-

nak strony doskonale wiadomo, że wszelkie jednostkowe akty sprzeciwu nie mają żadnego praktycznego znaczenia. Podejmowanie ich z grymasem śmiertelnej powagi staje się czynnością obiektywnie śmieszną. Odzew jest przeważnie żaden, co najwyższej zaspokojone jest poczucie własnej próżności. Tej prawdy nie jest w stanie zmienić heroiczny czyn Jana Palaha. Był wielki, ale zarazem był bez znaczenia. Był - nieatety - śmieszny w swej bezradności. Stąd też potrzeba autoironicznego dystansu do własnego odruchu etycznego. I, prawem paradoksu, wzbogacony autoironią sprzeciw jest przeważnie daleko lepiej słyszalny. G e s t staje się D z i a ł a n i e m. A w każdym razie jego zaczątkiem.

Wtedy z nabożną nieomal czcią wnikliwie studiowaliśmy hipisowską biblię - "Skowyt" - Allana Ginsberga.

"Widziałem najlepsze umysły mego pokolenia strawiane obłędem, wygłodzone w nagiej histerii, włokące się o świcie w dzielnicach murzyńskich, gniewnie rozglądające się za narkotykami..."

I dalej.

"Co za sfinks z cementu i aluminium roztrzaskał ich czaszki i mózgi ich wyżarł razem z wyobraźnią?"

Moloch! osamotnienie! plugastwo! brzydota! pudła śmieci i dolary nieosiągalne! dzieci wrzeszczące pod schodami! chłopcy szlochający w wojsku! starcy roniący łzy w parkach!..."

W tym poemacie wyczytaliśmy nową, przynajmniej dla nas, wskazówkę. Otóż jeżeli wkraczamy w świat, w którym nie znajdujemy żadnych autoritetów, w którym nie jesteśmy w stanie zaakceptować żadnej z zastanych wartości, wówczas taką wartością staje się r o z p a c z. Ale nie ta kojarząca się z tkliwością, rozdarciem, niemocą. Ta rozpacz to poczucie samotności i odrębności, to zdolność przenikliwego, jasnego oglądu rzeczywistości. To, być może nieskromna, pewność, że tylko my wiemy, co tak naprawdę jest tutaj grane. I czym to wszystko może się skończyć.

Rzeczywistość obserwujemy jak biolog swój preparat. Jesteśmy obok. Obok i ponad. Rzeczywistość, w jakimś sensie, naprawdę nas nie dotyczy. I dlatego łatwiej zauważamy zachodzące w niej procesy. Nie zachylamy się zmianami pór roku, wiedząc, że taki po prostu jest cykl natury. Nie wpadamy w euforię, gdy coś lub kogoś zmienia ludzie czy historia. Wydarzenia zachodzące wokół spokojnie niszemy na ciąg logiczny. Jak korale na żyłkę. Jasno, jak na dłoni widzimy dlaczego stało się akurat tak, a nie inaczej. Zazwyczaj nie mamy złudzeń. Wiemy, że nie ma się czym podniecać. Bardziej od romantycznych bohaterów przypominamy cynicznych rewolwerowców.

Zmiany, jakie zaszły w tym kraju po czerwcowych zamieszkach w 1976 roku nie miały wpływu na naszą świadomość. Podział na tych, którzy pozostali z boku i tych, którzy z impetem weszli w ruch opozycyjny, był podziałem powierzchownym. Jedni nie zmienili się, bowiem nie wierzyli w możliwość zmiany świata. Drudzy zaczęli działać, bowiem nie wierzyli także. O pozornym rozejściu się dróg zadecydowały temperamy i mniejsze lub większe wyczulenie etyczne, a nie stosunek do rzeczywistości. Ci, którzy znaleźli się w czynnej opozycji nie wierzyli w praktyczny sens swojej działalności. Niemniej przyjęli za swoją rzuconą przez Alberta Camus'a ideę "Syzyfa szczęśliwego".

I wydawało się, że nic nas już nie ruszy, nie zmieni. Gdy pewnego letniego dnia 1980 roku zdarzył się Sierpień. To nie pusty chwyt retoryczny. Wydarzenia niesione przez ten miesiąc stały się istotną cezurą w życiorysach nas wszystkich. A przynajmniej z początku tak się wydawało. Czy rzeczywiście było to "ogólnonarodowe przybudzenie"? Czy i nasze ścieżki pod jego wpływem zmieniły swój bieg?

To nie jest takie proste. Początkowo wydawało się, że tak. Że to

wszystko, o czym do tej pory mówiłem, nagle okazało się nieprawdą. Że to makulatura, którą trzeba jak najprędzej wyrzucić.

Dla mnie, dla tych wszystkich, którzy Sierpień przeżyli w Stoczni Gdańskiej, te kilkanaście dni było wielkim szokiem. Wydawało się, że oto na naszych oczach wali się misternie wykreowana wizja świata. Kilka dni i już zupełnie nic do siebie nie pasuje. To zresztą nie był jeden szok. To seria mniejszych, rozłożonych w czasie.

..

Strajkujące zakłady wywieszały na bramach flagi narodowe. Łopocząca na wietrze biel z czerwienia stały się znakiem rozpoznawczym buntów. Codzienne posiedzenia Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, msze i modlitwy, kończyły się zawsze hymnem i "Boże coś Polskę...". Czasami śpiewano także "Rotę", chociaż jej tekst już dawno przestał pasować do czegokolwiek.

Nikt nie kazał wywieszać flag. Nikt nie rzucał komendy: Do hymnu! Ta tradycja rodziła się sama, nieomal bez udziału ludzi. Taka musiała być potrzeba chwili.

Jak czułem się w tym zalewie polskości? Na ile i czy mi to przeszkadzało? Czy zmienił się mój, nasz stosunek do tych symboli? Czy coś pękło, zmieniło się w nas?

Ktoś próbował przekonać mnie, że Stocznia popadła w przesadę. Że oto my wszyscy tu siedzący znaleźliśmy się niebezpiecznie blisko nacjonalizmu. Ale to była bzdura. Zawsze byłem szczególnie uważliwy na punkcie nacjonalizmów. Tu niebezpieczeństwa nie zauważyłem.

Swoista atmosfera czasu i miejsca przeniknęła wszystkim. Właśnie tam, pośród unieruchomionych dźwigów ten naród przeżywał coś na kształt przebudzenia. Bezwolnemu tłumowi przypominało się, że nie jest tylko tłumem, a wielością. Ludziom nagle przypominało się, że są Polakami. Nie także, a przede wszystkim. Im właśnie potrzebne były te flagi, śpiewy, modły. Czyniły ich silnymi zupełnie nową wspólnotą. Zamieniały strajk w misterium.

Na naszych oczach dający sobą pomiatać naród zyskiwał godność. Podnosił się z rynsztoka. Zmartwychwstawał. Sam z siebie, bowiem nikt mu w tym nie pomagał. Nawet Kościół, w którym pokładano największe nadzieje odwrócił się od nich w dniu pamiętnej, jasnogórskiej homilii prymasa Wyszyńskiego. Ale ludzie rośli. Obserwowaliśmy to dzień w dzień. Byłoby czymś nienormalnym, gdyby nie zrobiło to na nas żadnego wrażenia. Widzieliśmy ludzi, którzy dojrzewali z taką szybkością, z jaką rośnie młody bambus. Widzieliśmy tłumy ludzi przybyszających co dzień pod Stocznnię. Nie tylko po to, aby przynieść kiełbasę i wyrazić poparcie strajkującym. Ale przede wszystkim po to, aby wyrazić wotum nieufności upodlającemu systemowi. Było to optymistyczne referendum.

Żyliśmy w euforii. Naród, który uważaliśmy za dawno umarły wykazywał zdumiewającą chęć do życia.

Euforia była jak wódka. Otrzeźwienie przyszło szybko. Stało się to dokładnie wtedy, gdy na pertraktacje do Stoczni przybył wicepremier Mieczysław Jagielski. W pierwszej chwili odebraliśmy to jako wielkie nasze zwycięstwo. Także i nasze, bowiem w tym momencie po raz pierwszy staliśmy się tłumem, masą. Byliśmy pewni, że oto władza przybyła do Canossy. Ale po pierwszych minutach negocjacji zapał ostrygł. Okazało się, że rzucona przez Tomka metafora Canossy jest smutnym memento. Była to bowiem Canossa, ale ze wszystkimi jej historycznymi konsekwencjami. Zobaczyliśmy, że władza nie ma zamiaru ustępować. Jak zawsze zresztą. A nawet jeżeli trochę ustąpi, to będzie to leninowski krok potrzebny tylko po to, aby potem wykonać trzy do przodu.

Z każdym kolejnym dniem stygła w nas wiara. W cokolwiek. Po krótkiej euforii, po chwili identyfikacji z ludźmi w waciągach, wracaliśmy

my powoli do normy. Jedyne, co pozwalało nam jeszcze siedzieć w Stoczni, to jej atmosfera. Czuliśmy się po raz pierwszy w życiu obywatelami wolnego kraju. Przeszliśmy się bać. Na przykład tego, że nagle z mroku wyłoni się ktoś i powie:

- Dokumenty proszę.

Mieliśmy świadomość, że musimy tą atmosferą maksymalnie nasiąknąć. Naładować się jak akumulator. Musi nam starczyć na długo, może do końca życia.

Kiedy dni strajku były już policzone Adam spojrział na mnie ze smutkiem.

- I co będzie potem? Teraz wiadomo, przychodzi się do Stoczni i wszystko jest jasne. A jak się skończy? Gdzie będziemy chodzić, kogo będziemy pytać?

Miara naszej bezradności.

Ostatni dzień strajku chyba tylko dla nas kilku nie był dniem radości i zwycięstwa. Ten dzień nazwaliśmy stypą. A właściwie to Marian tak go nazwał. Dla nas nic się tego dnia nie zaczynało. Dla nas kończyło się przebywanie tutaj, na wolnej ziemi.

..

Potem zaczęły się dni piękne i straszne zarazem. To prawda, ludzie prostowali karki. Ale też wariowali. Niektórzy jak choinki obwieszali się symbolami narodowymi i religijnymi. Matki boskie, orły w koronach, biało-czerwienie. Do przejedzenia, do wyrzygania. Amok dostawały wszystkie strony. Na prymitywne prowokacje odpowiadano głupimi protestami. W sklepach zabrakło żywności. Niektórzy w zamian proponowali rosół z orła i niepodległość w potrawce. Sznyצל z Dmowskiego, pieczeń z Marszałka.

Naród odżył. I mimo wszystko próbował żyć tak, jakby Polska naprawdę istniała. Ten naród zawsze uwielbiał mistycyzm i absurd. A przynajmniej tak to wyglądało z zewnątrz.

Ale czy odżył naprawdę?

Nie. Ten naród umiera! Jesteśmy tej śmierci biernymi obserwatorami. W medycynie znany jest termin "ożywienie przedśmiertne". Skazuje na śmierć pacjent odzyskuje nagle dobre samopoczucie i wigor. Czuje się wspaniale. Wykorzystuje się ten moment, aby delikwenta wypisać ze szpitala. Po paru dniach ożywienie przechodzi i pacjent umiera. Ale w domu. Nie zawiąza statystyk umieralności w szpitalach.

Naród polski w sierpniu 1980 roku wypisano ze szpitala. Będą lepsze statystyki.

Warszawa 1981

POST SCRIPTUM:

13 grudnia 1981 roku znowu podzielił nas ze względu na temperamenty. Część bezsilnie siedziała w domach, część w podziemiu mozolnie odbudowywała struktury rozbitej "Solidarności". Byliśmy w obozach internowanych i więzieniach. Byliśmy wszędzie, także w wojsku, ZOMO i SB.

Siedem pierwszych miesięcy naszej dziwnej wojny spędziłem w obozach internowanych. Siedem miesięcy to nie jest długo. Inni siedzieli dużo dłużej. Przez ten czas ani razu mnie nie uderzono. Siedzieliem w najlepszych obozach. Żadna więc martyrologia. Ot, życie. Ale te siedem miesięcy dało mi prawo do jednego. Dało mi - jak sądzę - moralne prawo do pytania o dziesięć milionów kolegów z "Solidarności". Gdzie się pochowali, kiedy nieliczni podjęli walkę? Dlaczego dobrowolnie zgodzili się na śmierć cywilną?

Wiem, to pytanie jest głupie. Jak zresztą każde pytanie zasadnicze. Przecież to wszystko było do przewidzenia. Chowanie głowy w piasek to cecha charakterystyczna strusia i Polaków. Wolność nam się należy, więc niby po co wami się o nią bić, po co się narażać? Pisał już o tym Adam Mickiewicz:

"Gęby za lud krzyczące sam lud w końcu znużą,
I twarze lud bawiące na końcu lud znużą.
Ręce za lud walczące sam lud poobcina.
Imion miłych ludowi lud pozapomina.
Wszystko przejdzie. Po huk, po szumie, po trudzie
Wzembrą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie."

Tak, można się było tego spodziewać. I jeśli któryś z nas przedtem podejmował walkę z systemem, to była to walka na własny rachunek. W imię siebie, w imię pewnych wartości. Ale nie za, lub o kogoś. Nie było o kogo. I dziś nie ma. Po prostu.

Naród? Jaki naród? Tych kilku facetów, którzy potrafią tylko cytować Dmowskiego, pisać się przez duże "N", rozrywać koszulę na pierś i pić na umór?

"Polak prawdziwy, kiedy wypije,
wspomni ojczyznę i płaczem zawyje"

To Słowacki. Nic się nie zmieniło. Butelka wódki przechylona nad kieliszkiem tak długo, dopóki starczy siła i determinacji. To tylko ostało się z narodowych powinności. I tylko skowyt. Dziki skowyt nad niemożnością, nad własną niewolniczą duszą.

Podczas drugiej wojny światowej Kazimierz Wierzyński z gorzką ironią pisał:

"Polsko, którą przezwano "narodów papugą",
Czemuż mądrych za światem nie powtarzasz nauk,
Tylko cierpisz zbyt dumnie i walczysz tak długo
Za wolność przedawnioną, najcięższy twój nałóg!

Czemuż to się w obłudzie nie kształcisz, uparta,
Nikogo nie okłamiesz, niczego nie udasz,
Choć znak twój - splugawiony, wierność - nic nie warta
I krzyżom twym urąga tłum, w tłumie Judasz.

Czemuż to w jakiejś nie zabłyśniesz zdradzie
I w pysznej niczemności nie podniesiesz czoła,
Któż jeszcze dzisiaj wieńce na mogiłach kładzie,
Gdy o pomstę do nieba każdy trup z nich woła?

Wypłosz orła z twych płócien, jak inni ptasznicy,
I na nowych sztandarach dziób wysyż papuzi,
Od razu cię docenią szlachetni Anglicy,
Sprawiedliwi Moskale i bratni Francuzi.

Coż ci po próżnym gniewie - spójrz wokół, szalona -
I co po ideałach i po górach kości,
Krucjata, którą wszczęłaś, już dawno skończona
A wolność znaczy tyle, co rozbój wolności.

Dopiero gdy uskrzydliš się wspólnym zwyczajem
I zrównasz do obłudy, która wszystkich brata,
Przywróci ci honory i obdarzą krajem,
I taką cię świat znowu wprowadzi do świata.

I wejdiesz między ludy, przyklasną twój sławie

I zgodnie nad twym każdym zapłaczą kamieniem
I krzykną znów o duchu, o krwi, o Warszawie -
Polsko, którą przezwano "narodów natchnieniem".

W tym zakątku Europy wiersz nie jest wierszem, poeta nie jest poetą. Słowo poety znaczy tu dlatego więcej niż gdzie indziej. Poeta jest tutaj mistrzem, nauczycielem, inżynierem dusz i tak dalej, dalej. Jest kimś w rodzaju takiego ogólnonarodowego guru. Dlatego wiersze należy czytać poważnie, bez kpin. Każde słowo traktować jak objaśnienie, wskazówkę. Może dlatego w wierszu Wierzyńskiego nie dopatrzono się ironii. Polacy to wśród śmiertelnie poważny. W każdym razie siebie traktują ze śmiertelną powagą. Nie uznają żadnych żartów, ani tym bardziej ironii. Przecież odczytanie ironii wymaga zbyt wielkiego wysiłku intelektualnego. W związku z tym z całą powagą potraktowano przesłanie wiersza. Umarły naród ochoczo zasiadł do licytacji upodlenia.

..

My, jak zawsze z boku. Nikomu nie potrzebni. Zresztą i nam nikt nie jest potrzebny. Wyrosliśmy z dawnych pragnień. Coraz lepiej znosimy samotność.

I tylko życie. Ono pędzi dalej.
Kto wygrywa - kto przegrywa?

..

za "Bóg tak chciał"
za "jakoś to będzie"
za "przecież to Żyd"
za "jeszcze nie zginęła" kiedy zginęła
za stosy niedobrych wierszy przyjaciół
za ręce zaciśnięte w kieszeniach
za dzwonki porannych rewizji
za martwe twarze przed kapliczkami telewizorów
za fanatyzm krzyży
za codzienną porcję zapomnienia
za cichą nienawiść serc
za bezsilne łzy mężczyzn
za ręce kobiet siatkami do kolan wyciągnięte
za odwagę do ostatniej kropli wódki
za krótki sen w więzieniach
za kobiety oczekujące powrotów
za nawóz gazet każdego dnia
za naszą i waszą ucieczkę w sen
za bezkarność morderców
za słowa pozbawione znaczeń
za nagłe nawrócenia pozbawionych nadziei
za ucieczkę w azyle bram
za dobrowolne odejścia w śmierć
za gesty w miejsce myślenia
za histeryczną megalomanię
za głupotę uprzedzeń
za groby i przedmurze
za brak perspektyw na następny dzień
za tych którym się ręki nie podaje
za tych którzy cię jeszcze kochają
za to że ciebie nie ma

- odwal się Polsko

1984

ANTONI PAWLAK

Myślenie polityczne

Wszystko, co ma związek z polityką, nie jest w Polsce dzisiejszej lubiane ani szanowane. Żyjące po wojnie pokolenia nie przeszły praktyki politycznego myślenia, gdzie i kiedy zresztą miałyby ją odbyć? W partii komunistycznej, w organizacjach jej podporządkowanych? Skąd mieliśmy wiedzieć, czym jest uprawianie polityki, skoro zajmuje się nią tylko stojąca na czele grupka, nam pozostawiająca prawo do oklasków popierających jej jedynie słuszne decyzje. Skoro oni wiedzą lepiej i odpowiadają za wszystko, my wiemy byle co i nie odpowiadamy za nic. Pozostaje więc tylko klaskać, albo tupać. Widzieć w kimś albo swego, albo wroga. Dostrzegać w danej sprawie tylko biel, albo tylko czerni. Nie inaczej było zresztą w okresie "Solidarności", bo i skąd miałoby być inaczej? Jak i od kogo mieliśmy nauczyć się, że prawdziwy obraz świata rysowany jest cieńszą nieco kreską i subtelniejszą paletą kolorów? Niejednym więc zniósł "pod drugi płot", bo skoro pozbył się jednej przynależności i jednego oklasków, pozostało mu tylko z tą samą skwapliwością wpisać się pod dokładnie przeciwnie sztandary, tak samo bezmyślnie - tylko w przeciwnym kierunku - wznosić okrzyki. Człowiek, który nie przeszedł praktyki politycznego myślenia, a jeszcze lepiej politycznego działania, który nie wie, iż nie wystarczy klaskać lub tupać, że trzeba wytrwale zabiegać o realizację swych politycznych celów, trzeba kogoś przekonywać, z kimś zawierać sojusze i kompromisy, a i tak w politycznej grze nigdy nie uzyska się wszystkiego; taki człowiek odczuwa lęk przed innymi niż jego poglądami, boi się wolnej gry sił politycznych, chętnie podporządkuje się jakiemuś wodzowi, czy autorytetowi, który akurat będzie w pobliżu i który zdejmie mu z ramion tak nieznośnie ciężką odpowiedzialność za własny los. Tak zwana "apolityczność" jest niestety wstępem do zniewolenia.

Wie o tym dobrze warstwa naszych dzisiejszych władców. Już od dawna nie usiłują nas przekonać, odklepują tylko po gazetach i telewizorach martwe frazesy ideologii, w jaką sami przestali wierzyć, albo z pomocą najemnych Rem-ów usiłują opluskwić wszystko, co jeszcze jako tako wiarygodne. Oni wcale nie żądają, byśmy im ufali. Mamy nie ufać nikomu, mieć pewność, że polityka to kupa amoralnego gnoju wylającego się z komitetów partyjnych. Mamy wycofać się w domowe zacisze, albo przynajmniej w bierny opór, im pozostawiając wyłączność politycznych zainteresowań. Ci, którzy usiłują wstępować na polityczne poletko, sami są sobie winni. To prawie czerwoni: jacyś KOR-owcy, socjaldemokraci, syjoniści albo jeszcze gorzej... Prawdziwy Polak polityką się nie zajmuje.

Tak myśląc robimy najlepszy prezent naszym władcom. Oni właśnie tego chcieli. Sekretarze do polityki - robote do roboty!

I. Opór

Jest oczywistą reakcją na zadany cios, ripostą na gnój i opluwanie, odpowiedzią dyktowaną przez zranioną godność. Trzeba trwać. Więc trwamy. Opór nie ma wątpliwości, unika sytuacji niejasnych, nie lubi zbyt subtelnych rozważań. Woli okrzyki. Jest przeciwieństwem polityki, jego ojcem jest wprawdzie szlachetny Sprzeciw, ale matką naiwna i romantyczna Prostduszność. Opór wymaga oczywiście odwagi, czasem nawet heroicznej, ale niekoniecznie odwagi cywilnej, która jest nade wszystko odwagą mówienia rzeczy niepopularnych. Opór - jeśli jest udany i wytrzymały, prowadzi oczywiście wcześniej czy później do zwycięstwa, ale - gdy mamy do czynienia tylko z nim samym - musi być to

zwycięstwo przez rozbitcie przeciwnika. Tak, opór ma jedną tylko perspektywę: z tarczą, lub na tarczy! Zwycięstwo lub śmierć! Przeciwnik nie wytrzyma, uderzy się w piersi, przyzna do błędów, solennie nas przeprosi i wtedy ewentualnie podyktujemy mu warunki kapitulacji. Albo sam się rozleci jak domek z fałszywych kart, a my - czyści i pełni uzasadnionej wyższości moralnej - zajmiemy opróżnione miejsce.

Tak, właśnie dlatego opór jest piękny, a polityka brzydka. Dlatego opór jest moralny, a polityka jest kupą gnoju. Dlatego my Polacy potrafimy myśleć kategoriami oporu, a nie usiłujemy nawet myśleć politycznie. Dlatego tracimy tyle dobrych okazji dla poprawy swego losu i zwiększenia stopnia wolności. A przynajmniej nie usiłujemy tych okazji wypróbować.

II. Polityka

Polityka nie jest ani oczywista, ani szlachetna, ani moralna, ani nawet pewna w tej perspektywie, która można otworzyć. Polityka jest tylko sztuką doraźnych kompromisów, czynionych jednak z myślą o celu nadrzędnym. Polityka nigdy nie woła "zwycięstwo albo śmierć!". Nie obiecuje zbyt wiele i zbyt szybko, polityka tylko próbuje. Owszem, tam, gdzie chodzi o cel, polityka łączy się z oporem, z nadzieją, z wiarą, a nieraz i z wymarzoną utopią. Tam także bywa piękna, szlachetna i wyższa ponad codzienność. Ale tylko tam. Nie w sferze taktyki, a nawet strategii. Gdy tylko celu zabraknie, albo gdy sprowadzą się on tylko do zdobycia władzy, wtedy rzeczywiście zaczyna się gnój. Ale mając nawet cele najszlachetniejsze i powszechnie akceptowane, polityka na co dzień musi być brzydka, niezadawalająca i mało efektywna. Choć jest właśnie efektywna. Musi bezustannie przymierzać zamiary do siły a siły do środków. Musi byzustannie rozgrzywać swą partię z przeciwnikiem, dźierać w prawicy nie tyle wyostrzony miecz, ile karty z aktualnej rozgrywki - bywa, że i znaczone. Tak, być politykiem to przykre i jakże deprecjonujące moralnie. O ileż lepiej trwać nieprzejednane na reductach oporu. Tym bardziej, że polityk jest niestały, zmienia sojusze i dostosowuje je do aktualnych układów sił. Tylko opór trwa od początku do końca przy swoim: do zwycięstwa, albo do klęski. Polityka jako sztuka osiągnięcia tego, co jest aktualnie możliwe, kolejne sojusze i kompromisy traktuje jak szczeble drabiny prowadzącej do celu. Zaiste, polityk, to człowiek conajmniej dwuznaczny...

Jak Piłsudski. Znamy go pomnikowo, a zapominamy, że był politykiem. Był socjalistą i socjalizm porzucił. Był drukarzem i autorem nielegalnych gazetek, ale nie podziemna poligrafia była dlań celem. Organizował napady na pocztowe pociągi, ale nie był bandytą. Związał swą powstającą armię z Austrią, ale potrafił Austrię porzucić, gdy zobaczył, że przegrywa. Podporządkowywał się w drodze do celu różnym chwilowym znakomitościom, aby za chwilę znieść je z historycznej sceny. A wszystko po to, aby zrealizować cel, jakim było odbudowa Niepodległej. I cel ten zrealizował, tylko gdyby trwał od początku do końca przy tym samym i w tym samym układzie politycznych sojuszy, byłby pewnie drugorzędny przywódcą a komu innemu przypadłby zaszczyt wskrzeszenia Polski i pewnie też w bardziej okrojonych granicach. Warto zapamiętać sobie tę lekcję. I warto też pamiętać, że nie wszystko się temu znakomitemu przeciwie politykowi udało, że paru ważnych spraw nie wygrał, a w końcu nie wybrnął też z potwornego - i może nie do wybrnięcia - dylematu dwu wrogów. Bo polityka niczego z góry nie gwarantuje i niczego nie zapewnia. Jest tylko umiejętnością korzystania z nadarzającej się sposobności.

Dlatego nie mylmy polityki z uległością. Polityk wchodzi w układy i zawiera kompromisy, ale skutecznie tylko wtedy, gdy stoi za nim zdolna do działania siła. Inaczej stoł rokowań wkrótce znajdzie się w izbie przesłuchań. I nie mylmy polityki z brakiem odwagi lub wytrwałości. Polityka wymaga szalonej odwagi cywilnej. I przyzwolenia

na ryzyko. Ryzyko oporu jest w istocie mniejsze niż ryzyko polityki. Jeśli stawiający opór nie uzyska nic i poniesie klęskę, to i tak w swym nieprzejednaniu zwycięży moralnie. Polityk natomiast ryzykuje każdym wdaniem się w układy i kompromisy, każdym chwilowym sojuszem. Nawet jeśli osiągnie sukces i przybliży cel, traci moralnie, bo wciąż osiągnął za mało i do tego wdaje się w pertraktacje z tak okropnymi ludźmi... A ileż razy traci faktycznie? Tak, wytrwałość jest potężnym orężem polityka, podobnie jak dalekie widzenie i codzienna odwaga przeciwstawiania się upartemu głupstwu.

Myślenie polityczne wskazuje bowiem, że człowiek jest słaby, nieraz głęboko utrudzony, zbyt mało wiedzący, więc o potknięcia łatwo... I w tym widzeniu jednocześnie dalekiego celu i dróg jego przybliżenia, a jednocześnie w zrozumieniu utrudzających przypadłości ludzkiego ducha i sumienia, polityka jest mądra i nawet wyrozumiała. No, może tylko stara się nią być, na tyle, na ile mądrymi potrafią być uprawiający ją ludzie.

Dlatego właśnie Polacy potrafia uprawiać opór, potrafia myśleć kategoriami oporu. Daje im tu liczne wzorce cała nasza tradycja powstańcza. I dlatego też tak bardzo nie lubią i nie rozumieją polityki.

III. Przypadek polski

Opór zwycięża przez rozbitcie lub przez samoistny upadek przeciwnika. A więc opór w swej istocie niesie wojnę, choć oczywiście nie musi być to koniecznie starcie zbrojne i krwawe. Polityka prowadzi do zwycięstwa małymi krokami, pozwala słabnącym wycofywać się względnie honorowo i na raty - w swej istocie rozciąga nabrzmiewające starcia, pozwala ominąć najbardziej wyniszczające konflikty. Ruch, który wyrzeczenie się przemoc wypisał na swych sztandarach, stanowczo powinien bardziej zwracać uwagę na politykę. Powinien przestać się jej bać, utożsamiać z grzechem, gnojem, strefą zastrzeżoną do wyłącznej kompetencji Czerwonego.

Jesteśmy tu u siebie, mamy prawo i obowiązek uprawiać politykę, myśleć politycznie w nie mniejszym stopniu niż nasi władcy. Politykę polską, dla Polski.

Sam tylko opór prowadzi do starcia. Sama tylko polityka prowadzi do uległości. Dlatego opór potrzebny jest polityce jako wsparcie, a polityka oporowi jako sposób spożytkowania stworzonej przez presję. Ale, jeśli tak, to nie należy uprawiających politykę nazywać kolaborantami i ugodowcami, podobnie, jak nie wolno nazywać uprawiających nieprzejednany opór twardogłowymi ekstremistami. Potrzebni są jedni i drudzy, tak jak w Polsce okresu I wojny światowej, z której wyjąć miała jako Polska Niepodległa pod przywództwem Piłsudskiego, potrzebny był i Dmowski ze swoim programem prorosyjskim i ugodowa Rada Regencyjna i tworzący siłę zbrojną legionowy przywódca. Wtedy jeszcze nie było wiadomo na czyje wyjdzie i jakie pojawią się sposobności. Nie inaczej jest teraz.

Tylko, że jak dotąd więcej myślenia politycznego widać po stronie władzy, niż po stronie opozycji. Nie potrafiliśmy - jako oficjalnie działający, lecz obcy systemowi związek - pojąć, że to władza ma siłę, że może uderzyć, nie umieliśmy przygotować się na to, daliśmy wybierać się jak przysłowiowe ptaszki z gniazda. W stanie wojennym powtarzaliśmy usypiającą bajeczkę, że "wiosna będzie nasza" odsadzając jednocześnie od czci i wiary wszelkie propozycje ułożenia się z władzą, póki rzeczywistość boi się ona strajku generalnego i mocy podziemnych struktur. Nie umieliśmy wykorzystać sukcesu jakim był bojkot wyborczy i bojkot "wronich związków", nie umieliśmy tym kilku milionom ludzi najwierniejszych "Solidarności" zaproponować żadnego sensownego zaangażowania na okres poamnestyjny, zaangażowania, które

byłoby jednocześnie presją na władzę. Swego czasu proponowałem - choć na innych łamach - by takim zaangażowaniem było masowe podpisywanie petycji do MOP domagających się przywrócenia pluralizmu związkowego w Polsce. Może się myliłem? Ale nikt nie zaproponował nic innego, a sprawa walki o pluralizm rozmyła się w oświadczeniach tych samych co zwykle osób. Miliony pozostały bierne.

Podobnie jak ostatnio gardziowałem za tym, by "Solidarność" opublikowała krótki - poparty wyraźnie przez Lecha Wałęsę i TKK - plan daleko idącej reformy gospodarczej. Byłby to mocny i uważnie słuchany - tak w kraju, jak na Zachodzie - głos mogący przeważać szalę rokowań z Międzynarodowym Funduszem Walutowym i zachodnimi wierzyicielami Polski. Wytworzenie wewnętrznej i zewnętrznej presji na pogłębienie dość miękkiej dotychczasowej "reformy" tak, by mocno uderzała w interesy i zakres władzy "czerwonej burżuazji", byłoby niesłychanie ważną - i być może jedyną dziś - dźwignią nacisku wymuszającą korzystne dla nas zmiany. Wybrano strajk. Zgoda. Ale oprócz oporu potrzebna jest i polityka; tym potrzebniejsza, że opór trwa pomimo wszystko.

Polityka bowiem wcale się nie upiera by koniecznie siedać do stołu i wcale nie uważa, że ten skądinąd przyteczny mebel musi mieć w Polsce mistyczne wręcz znaczenie. Polityka szuka tylko takich rozwiązań, które byłyby do przyjęcia przez obie strony, nawet przyjęcia milczącego, nigdzie nie zapisanego. Nawet strona, która - historycznie rzecz biorąc - przegrywa, nie może odejść z miejsca, gdzie szuka się politycznych rozwiązań, z poczuciem klęski. Bo jeśli jej proponujemy tylko bicie się w piersi i wyznanie grzechów, to jej szansą będzie tylko dalsze trwanie przy swoim i sięganie po represje, zaś naszą dalszy nieprzejednany opór.

Przyjęte - w drodze rokowań, bądź milcząco - rozwiązanie, musi jednak zapewnić podjęcie jakichś korzystnych zmian, zainicjowanie jakiegoś, z wolna demontującego system, procesu społecznego czy gospodarczego.

Dlatego zupełnie niepolitycznym będzie dziś postulat przywrócenia "Solidarności", bo nie mamy dość sił aby zmusić władzę do tego, by przyznała się do błędu. Dobrym zaczątkiem próby szukania tymczasowych rozwiązań politycznych jest jednak postulat przywrócenia pluralizmu związkowego, bo nie wymaga wycofywania się z już uchwalonych ustaw. Władza ma tu furtkę, może wyjść "z twarzą". Sądzę, że takich pomysłów, pokazujących coraz bardziej zaniepokojonym ludziom władzy pewne, nienajgorsze dla obu stron wyjścia, może być o wiele więcej. Czy przyniesie to korzystne dla nas skutki? Nie wiem, na pewno trzeba takie możliwości wypróbować. Nie byłoby jednak czego próbować politycznie, gdyby nie istniał opór. Gdyby nie twardo zgłaszane i poparte demonstracjami żądania przywrócenia "Solidarności", nie można byłoby teraz targować się o kompromisowy pluralizm. Podobnie, żądanie anulowania represyjnych przepisów /np. ustawa o MSW, zmiany w kodeksie karnym/ ma tylko moralne znaczenie, natomiast znaczenie polityczne może mieć przypomnienie władzy, że w 1985 roku mija termin przeglądu tego ustawodawstwa, więc z tego, co łamie prawa ludzkie i obraża naszą godność, można byłoby wycofać się cichaczem, "z twarzą".

Muszą tedy w dzisiejszej polskiej opozycji koegzystować różne kierunki, różne sposoby myślenia i różne gradacje "ugodowości" oraz "nieprzejednania". Tylko opozycja zróżnicowana, patrząca z różnych stron, może jednocześnie stawiać opór i proponować kompromisy. Nie oskarżamy się więc zbyt pochopnie o skrajności, bądź o kolaborację. I pamiętajmy też, że zajmowanie się dziś szczegółami urzędzenia organizmu państwowego "Trzeciej Rzeczypospolitej" nie jest bynajmniej polityką, lecz rozważaniem utopii. O wiele ważniejsze byłoby zastanowienie się nad pakietem - tymczasowych i możliwych do cichego przyjęcia przez władzę - takich rozwiązań, które uruchomiłyby proces przemian choć

trochę przybliżających tę Rzeczpospolitą. Albo chociażby nad skutecznymi dziś, możliwymi do podjęcia przez ludzi narzędziami presji.

Nieźnym praktycznym sposobem kształcącym takie myślenie i jednocześnie pozwalającym trafniej reagować na polityczne posunięcia strony przeciwnej byłoby "rozgrywanie" różnych możliwych sytuacji przez kilkuosobowe zespoły reprezentujące np. rząd i podziemie w sytuacji strajkowej. Zespół reprezentujący "Solidarność" podejmuje jakieś decyzje, reaguje na nie zespół rządowy i taka gra symulacyjna toczy się aż do skutku. Znam próby takich symulacji dotyczących spraw cenowych, które pozwoliły przewidzieć posunięcia rządowe wokół podwyżki ostatniej.

Być może, gdybyśmy częściej i we właściwych gremiach doradczych takie "pozorowane ćwiczenia" przeprowadzali, to pewnie nasze protesty lepiej by nam wychodziły. Są one zresztą tylko elementem całości. Wielka gra toczy się dalej.

KRZYSZTOF JERZEWSKI

Są zwykłymi robotnikami Huty im. Lenina - jakich tysiące...

W jednym z nowohuckich mieszkań spotykam ich pięciu. Mają od 25 do 40 lat. Na wstępie zastrzegają się: przecież niewiele potrafią mi powiedzieć, bo nie są działaczami. Nie ich Urban nazywa ekstremą. Są zwykłymi robotnikami Huty im. Lenina - jakich tysiące... Chcą tylko spokojnie, godnie i uczciwie żyć, sprawiedliwie zbierać owoce swej pracy. Dużo to, czy mało?

Wiesław pracuje na stanowisku operatora. Niewysoki, ruchliwy i impulsywny. Przedstawia własną statystykę: co najmniej 70% załogi popiera "Solidarność", a może i trochę więcej /inna sprawa czy się do tego publicznie przyznaje/, jakieś 20% to grupa "zerowa": nigdzie się nie angażują, nic poza pracą i zarobkami ich nie interesuje, a najwięcej takich wśród chłoporobotników dojeżdżających z podkrakowskich wsi. Reszta - to partyjni, ormowcy, działacze młodzieżowi i związkowi, niektórzy kierownicy itp.

Co innego jednak poglądy i przekonania, a co innego postawa na zewnątrz. - Generalnie rzecz biorąc, to ludzie się boją - kilka razy podkreśla Bolesław, majster, 40-latek o łagodnej twarzy i stanowczych sądach - Tylko nieliczni są zdecydowani na wszystko. Pozostali, owszem, są całym sercem za "Solidarnością" lecz woleliby, żeby na razie ich osób nie łączył z tymi sympatiami. Musiałby być jakiś mocny impuls, który poruszyłby ludzi: może głód i sprawy ekonomiczne, może rząca i dotykająca ich bezpośrednio niesprawiedliwość, może jakiś ogólnopolski zryw...

Bolesław czuje w hucie atmosferę jakiegoś wyczekiwania. Jeszcze nie dojrzała do zdecydowanych czynów, ale już nie apatii. W małych grupkach, owszem, porozmawiają, pokrzykują, często i poklną na władzę, na telewizję, na Urbana. Ale już nie każdy ma ochotę na publiczne wystąpienia, choć świadomość u ludzi jest spora. Nie każdy też zdecyduje się zapłacić składkę związkową: boi się, żeby jakiś wykaz z jego nazwiskiem nie wpadł w niepowołane ręce. Ten sam hutnik pójdzie jednak na manifestacyjną mszę do kościoła i tam z ochotą złoży

datki na wiadomy cel.

Strach ma swe źródła w represjach jakie dotknęły uczestników manifestacji, aktywniejszych działaczy jeszcze legalnej "Solidarności", a później podziemia. Jeszcze mają w pamięci przeniesienia na niższe stanowiska, przeszerogowania i wyrzucenia z pracy. W tym przekonaniu utrzymuje hutników Służba Bezpieczeństwa. Systematycznie wzywani są na Mogiłską co bardziej aktywni, przesłuchuje się ich, straszy pozabawieniem pracy. Kontrolowane są szatnie i szafki na odzież osobistą.

Suwnicowy Rysiek definiuje to tak: - Ludzie się boją, bo jak ktoś głośno wyleją za bramę, to kto się o niego upomni? Przecież my sami nie potrafimy ich obronić! Zabili z zimną krwią Włosika... czy ktoś się postawił? A gdyby mnie wyrzucili, to zaprotestujecie? Odważycie się?

Zapada kłopotliwa cisza. Czują, że Rysiek ma rację. Nikt nie ujął się przecież za Staszkiem Handzlikiem, którego dyrekcja nadal - po zwolnieniu z więzienia - nie chce przyjąć do pracy. Zapomniano o innym przywódcy hutniczej Odnowy - o Edku Nowaku przeniesionym z produkcji na podrzędne stanowisko ze stratą 10 tys. miesięcznie.

Zbyt szybko przeszli do porządku nad tymi sprawami. Głupio to wyszło. Teraz głośno myślą czy nie zacząć zbierać podpisy na petycji o przywrócenie Handzlika do huty. Sądzą, że dużo robotników podpisze. Rozumieją, że taka akcja byłaby ważna nie tylko dla Staszka, ale i dla nich samych, dla wspólnej, robotniczej solidarności. Nawet jeśli dyrekcja odmówi.

Pięciu siedzących przede mną hutników nie należy do najbardziej bojaźliwych. Płacą składowi solidarnościowe, uczestniczą w nieoficjalnej kasie zapiegowej, kolportują bibułę. - Nawet ci super zastraszeni - śmieje się piecowy Stefan - wprost rzucają się na podziemne wydawnictwa. Rozglądają się tylko na boki czy ktoś nie widział i chowają za pazuchę, by poczytać w domu, a potem wywieźć gazetkę na wieś, dla krewnych.

Mówią o niebывałym głodzie niezależnego słowa pisanego. Mimo, że w hucie ukazuje się kilka tytułów solidarnościowych gazetek, ciągle jest ich za mało. A oni chcą czytać książki, niecenzurowane gazety, szukać argumentów, które pozwolą im zrozumieć kłamstwa i przeinaczenia oficjalnej prasy i telewizji. Wiedzą lub podskórnie czują gdzie kłamstwo. Jednak co innego nie wierzyć, a co innego znaleźć argumenty by tę niewiarę uzasadnić. Tego szukają w drugim obiegu informacji: klucza do poznawania prawdy. Chcieliby zaśmiać się Urbanowi w oczy, gdy mówił, że tylko 1% Polaków systematycznie słucha zachodnich rozgłośni. Oni niewielu znają takich, którzy by nie słuchali...

Masowo też chodzą do kościołów. Zawsze chodzili, choć nie tak gorliwie jak teraz. - To nasze, robotnicze ambasady - powie najmłodszy z mych rozmówców, 25 letni ślusarz Józek. - Oczekujemy, że ksiądz - tu w Nowej Hucie - powie prosto z mostu co robotnicy czują. Te takie duchowe rozważania... nie dla nas. Można je posłuchać w każdym kościele.

W ich h u t n i c z y c h kościołach chcą słyszeć swoje myśli i poglądy, umacniać się przez gromadne uczestnictwo w nabożeństwie, na którym wrodzona, ludowa często religijność tych chłopskich synów miesza się z głębokim patriotyzmem. W kościołach czują się bezpieczniej. Stamtąd nikt ich nie przepędza, to ich opoka prawdy. Wyrzucają z serc strach, czują się wolni i odważni. Same ręce wyciągają się w górę, a palce kreślą znak wiktorii... Czy to im kompensuje zdarzające się na co dzień upadki i zwątpienia? W każdym razie wracają z kościoła umocnieni i jakby lepsi. Na jak długo starczą im odwagi?

Gdy tak rozmawiamy, gospodarz dzisiejszego spotkania podaje kolejną herbatę. Mieszkanie Stefana jest typowym dla Nowej Huty. Blok, regły na wysoki połysk, trochę kryształów, święte obrazy, haftowane serwetki, wersalka, proste fotele i jannik pośrodku pokoju. Bardzo czysto i schludnie; porządek wręcz pedantyczny. Nie na pokaz: odwie-

dziłem kiedyś Stefana zupełnie niespodziewanie i w równie idealnym stanie ujrzałem ten dom. Stefan, którego Huta zwabiła z odległej rzeszowskiej wsi, ceni sobie własny kąt. To chyba jedyny dorobek jego życia. Opowie mi kiedyś, z jaką nadzieją i optymizmem stawał tu do pracy. - Ćwiczyłem wtedy jak szatan - wylewałem pot i co z tego? Wszystko zmarnowali!... Dziś nawet bez ochoty idzie do pracy, nie bardzo widzi sens większego wysiłku.

Prawdę mówiąc nie bardzo wiedzą jak ich praca jest wykorzystywana i jakie przynosi efekty. Bolesław dziwi się, bo raz czyta w zakładowej gazecie: "kombinat stoi na skraju bankructwa!", a kiedy indziej brasa trąbi o kolejnych sukcesach produkcyjnych, wykonywaniu planów.

Bolesław i jego koledzy pamiętają tylko, że w najlepszych latach Huta dawała rocznie 6-7 mln ton wyrobów. Teraz produkcja sięga ledwie 4 milionów. Z perspektywy ich stanowisk pracy mogą zobaczyć tylko tyle: są dni, że na osiem godzin pracują tylko trzy, psują się wykorzystywane maszyny, katastrofalny jest stan pieców, brakuje surowców do walcowania. - Szkoda gadać jaka jest ta ruda z Krzywego Rogu - irytuje się najbardziej zapalczywy Józek - szajs nam przysyłają. Widać to dlatego, że zachciało nam się teraz amnestii dla politycznych. Nawet 30% z tego się nie wyciągnie.

Szeroko reklamowanej reformy gospodarki w hucie nie zauważyli. Wszystko po staremu. Tylko mówi się o zaostreniu dyscypliny i organizacji pracy, co w rzeczywistości sprowadza się - zdaniem suwnicowego Ryśka - jedynie do kontroli czasu wyjścia za bramę. Jeśli cię strażnik złapie, że wcześniej wychodzisz /choćby pięć minut/ - zapłacisz 1000 zł kary, choćby i pół dnia nie miał co robić. Nie ma systemu efektywnej oceny wysiłku wkładanego przez poszczególnych ludzi. Realne zarobki nie są duże, a jeśli komuś udaje się zdobyć więcej, to tylko w nadgodzinach - kosztem zdrowia i nadmiernego wysiłku.

Czy lepsze zarobki, bodźce materialne mogą poprawić sytuację produkcyjną huty? Bolesław ma w tej sprawie taki pogląd. Pieniądze wszystkiego nie załatwią, choć dużo mogą. Doraźnie nawet ożywią produkcję. Tu chodzi o coś innego. O pokonanie zakorzenionej n i e u f n o ś c i do władzy. - Forsa cieszy, ale żeby sercem się przyłożyć, trzeba wiary w stabilność gospodarczą i rzetelną perspektywę na przyszłość. Obecnie, gdy władza daje trochę grosza, to zaraz jeden z drugim węszy jakieś złe zamiary: albo podwyżkę cen, albo wyższe podatki, albo przykręcenie śruby gdzie indziej. Tak już ludzie są wytresowani... w dobre intencje nie wierzą.

Gorzkie słowa słyszę o średnim nadzorze. Jeszcze z mistrzami można się czasami porozumieć. Ci wyżej - kierownicy wydziałów, działów - zachowują się fatalnie. Mają lekceważący stosunek do robotnika. Nie zależy im na ludziach - tak widzi ich Wiesiek - Ciągłe słyszymy "Jak się nie podoba, to won!". Nawet teraz, gdy ciągle brakuje rąk do pracy w hucie.

Te zmiany nastąpiły po wprowadzeniu stanu wojennego. Kiedyś było inaczej. Nadzorowi zależy dziś by mieć święty spokój i aby jako tako szła produkcja. Nie ma większych ambicji. Dodatkową płaszczyzną rozdźwięków jest obarczanie nadzoru odpowiedzialnością za sytuację społeczno-polityczną załogi. To ich rękami zrywa się solidarnościowe plakaty, ścięra napisy na murach, konfiskuje ulotki. Oni mają donosić o nastrojach i zachowaniach podwładnych. Kierowników - nie działaczy związkowych - zobowiązano do agitacji na rzecz wronich związków. Tylko nieliczni mają odwagę nie zgodzić się.

Po stanie wojennym w kombinacie nastąpił też ostry rozbrat propagandowej fasady z rzeczywistością. Z praktyki własnego wydziału doszli do przekonania, że nie widać żadnych śladów działania ani "umacniającej swój robotniczy charakter" partii /są wydziały, że nie można wybrać władz, bo nie starcza już członków, którzy mogliby tworzyć komisję skrutacyjną/ ani "awangardy młodego pokolenia" czyli

ZSMP. Te wszystkie narady, rzekome aktywne kolektywy są gdzieś poza nimi. Tylko z gazet dowiadują się o ich sukcesach, mozolnej pracy na rzecz klasy robotniczej, wypowiedziach w imieniu c a ł e j załogi - jakby ich, robotników, ktoś chciał o zdanie pytać.

Mało kto przyznaje się do członkostwa w nowych związkach zawodowych. Robotnicy znają tylko kierownictwo wydziałowej komórki związkowej, bo listę zarządu wywieszono pod zamknięciem w narzędziowni. Na ich wydziale jest ponoć 11%, ale i w to wątpią. Oni kłymaszem, nawet gdyby mieli interes, do tych związków po prośbie nie pójda. Sprawa honorowa.

Ci z nowych związków wcale nie kryją przyziemnych zachęt, jakimi kuszą potencjalnych kandydatów. Wiesiek opowiada, jak jego koledzy z sąsiedniego wydziału poszli do majstra Kawki, zasłużonego w związkowej agitacji. Pytają, na jakich zasadach mogą się zapisać i wtedy majster rozpościera przed nimi cały wachlarz korzyści: lepsze wynagrodzenie, awanse, pierwszeństwo w pozyskaniu dóbr deficytowych itd. Na to oni: - W takim razie my się nie zapisujemy! I kłymaszem, nawet oczy mówią na odchodne: - Majsterku, trzeba dać zarobić za pracę, a nie za to, że do związku się należy.

Łupem związkowych neganiaczy pędąją zwłaszcza wiejskie dziewczyny przyjmowane do kuchni w Zakładzie Usług Socjalnych. Albo polują na tych, którzy właśnie mają dostać mieszkanie. Należy im się i tak, ale już tak długo czekali, że lepiej się zapisać, bo a nuż coś pomataczą i przyjdzie nadal czekać. - Słyszał pan, jak jeden chłopak tylko pół godziny był związkowcem - śmieje się Józek. - To było w brygadzie branżowej. Chłopak przyszedł po wojsku nie zorientowany, to go i przekabacili. Jak tylko pojawił się w brygadzie, z mety pytają: Podpisałeś? I tłumacza ciemniakowi co i jak. Zaraz pobiegł i wycofał deklarację.

Na koniec jeden z hutników powie: - My w Sierpniu byliśmy zaskoczeni, niewiele wiedzieliśmy. Teraz jest już inaczej. Bez porównania. Ludzie się przebudzili, ostrzej widzą. Trzeba podtrzymywać ten płomień, by ciągle być razem w solidarności i wspólnocie.

Jak konkretnie to czynić - nie za bardzo wiedzą. Liczą, że działania podziemnych struktur coś wymyślą, ale i z tej strony nie ma klarownego, konkretnego programu.

Trzymają się więc tego, co powiedział im Papież, czego uczy Kościół i niektóre gazetki podziemne: działań rozsądnie, nie pozwolić odebrać sobie godności, nie dać się podzielić oraz edukować siebie i młodych - to dyktuje im rozum i doświadczenie.

A serce? Co czuje serce, gdy z nagłą odrzuca uwierający czasem gorset rozsądku? Józek na przykład pomyśli o swej przyszłości i zaraz pięści zaciska i złorzeczy. Jest kawalerem bez szans na mieszkanie i stworzenie godziwych warunków dla przyszłej rodziny. Stefanowi tylko oczy zapłoną i nie będzie mógł spokojnie usiedzieć, gdy mówimy o zabójstwie ks. Popiełuszki. Są granice ustępstw i cierpliwości. Nazywa rzecz po imieniu: Jak ci ktoś chce łeb urwać, to na co masz czekać? Trzeba odpowiedzieć zdecydowanie.

I w takich właśnie chwilach okazują niustępliwość, twardość. Nawet gwałtowność. I nawet nienawiść. Chociaż wcale nie uważają się za ekstremistów. Są przecież zwykłymi robotnikami Huty im. Lenina - jakich tysięcy. Chcą spokojnie, godnie i uczciwie żyć, sprawiedliwie zbierać owoce swej pracy. Dużo to, czy mało?

MARIAN GARDEN

DOKUMENTY REPRESJI

WYKAZ REPRESJONOWANYCH PRACOWNIKÓW HIL

WALCOWNIA GORĄCA TAŚM P - 66 - HUTA IM. LENINA

Obecnie wchodzi w skład ZW pod symbolem ZW/W-2. W skład ZW wchodzi:

1. P-60 /Walcownia Zgniatacz/ - ZW/W-1
2. P-64 /Walcownia Drobną i Drutu/ - ZW/W-2
3. P-66 /Walcownia Gorąca Taśm/ - ZW/W-2 /obecnie łącznie z P-64 tworzą jeden wydział/.

1. MROZOWSKI Jan - ur. 8.09.1934 r. Sułków, zam. Czarnochowice 211, spawacz, żonaty, 2 dzieci, 80362, za udział w strajku 10.11.82 r. ukarany pozbawieniem dodatku stażowego w wys. 1500 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2400 zł. Łącznie 3900 zł.
2. WILK Bogdan - ur. 7.02.1956 r. Kraków, zam. os. Kazimierzowskie 10/80, operator suwnicy, żonaty, 72308. Za udział w strajku 10.11.82 r. ukarany pozbawieniem dodatku stażowego w wys. 600 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2200 zł. Zabraniony z ulicy przez ZOMO i ukarany przez kolegium do spraw wykroczeń za rzekomy udział w manifestacji ulicznej kwotą 15 150 zł. Łącznie 17 950 zł.
3. ORDYS Lucjan - ur. 24.06.1947 r. Zielenice, zam. os. Na Stoku 15/53, operator urz. walc., żonaty, 36231. Za udział w strajku 10.11.82 r. ukarany pozbawieniem dodatku stażowego w wys. 1500 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 1800 zł. Łącznie - 3300 zł.
4. DERCZ Ryszard - ur. 3.03.56 r. Wodzisław, zam. Wodzisław Olszówki 14 /hotel os. Na Wzgórzach 17a/23/, walcownik, żonaty, 83161. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany pozbawieniem dodatku stażowego w wys. 400 zł, nagrody z uzysku w wys. 2700 zł oraz obniżeniem grupy osobistego zaszczerogowania na okres 12 miesięcy, którą po upływie kilku miesięcy przywrócono. Strata za ten okres wynosi 7000 zł. Łącznie 10 100 zł.
5. FRACZEK Zbigniew - ur. 7.08.1960 r. Limanowa, zam. os. Dąbrowszczaaków 10/78, ślusarz, kawaler, 88393. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 zabranieniem dodatku stażowego w wys. 700 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2800. Łącznie - 3200 zł.
6. RAPACZ Mieczysław - ur. 7.03.1943 r. Lubień, zam. Os. Dąbrowszczaaków 10/31, operator urz. walc., żonaty, 76006, ukarany za udział w strajku 10.11.82 pozbawieniem dodatku stażowego w wys. 700 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2200 zł. Łącznie - 2900 zł.
7. ZACHARA Janusz - zam. os. Zgody, elektronik, żonaty 1 dziecko. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 pozbawieniem dodatku stażowego w wys. 1100 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 1200 zł. Łącznie - 2300 zł.

8. RUSEK Mieczysław - ur. 9.10.1949 r. Czaple Wielkie, zam. os.Kombatantów 12/20, żonaty, 2 dzieci, ślusarz-spawacz, 59118. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 pozbawieniem dodatku stażowego w wys.1000 zł oraz zabraniem nagrody z uzysku w wys.2000 zł. Łącznie - 3000 zł.
9. PIECH Izidor - zam. os.Na Lotnisku, żonaty. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 pozbawieniem dodatku stażowego w wys.1300 zł oraz zabraniem nagrody z uzysku w wys.1800 zł, oraz zdjęciem ze stanowiska brygadzysty. Łącznie - 3100 zł.
10. MÓL Zdzisław - ur.19.07.1954 r. Kraków, zam.Centrum B 11/78, ślusarz-spawacz, żonaty, 1 dziecko, 60140. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 pozbawieniem dodatku stażowego w wys.1300 zł oraz zabraniem nagrody z uzysku w wys.2000 zł. Łącznie 3300 zł.
11. DURAK Zbigniew - ur.16.12.1963 Myślenice, zam. Os.Piastów 47/53, elektryk, kawaler. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 zabraniem nagrody z uzysku za IV kwartył 82 r. w wys.1200 zł.
12. SZAREK Krzysztof - ur.1.07.1959 Mszyna Dolna, zam.Kasinka Mała 410 elektryk, kawaler, 80812. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 pozbawieniem dodatku stażowego w wys.800 zł oraz zabraniem nagrody z uzysku w wys 2500 zł. Łącznie - 3300. Odszedł z HiL.
13. CIECIURA Antoni - ur.5.05.1957 Koszyce, zam.Głęboka 26 gm.Kocmyrzów, ślusarz, żonaty, 1 dziecko, 83297. Za udział w strajku 10.11.82 r. ukarany zabraniem dodatku stażowego w wys. 600 zł oraz zabraniem nagrody z uzysku w wys. 1900 zł. Łącznie 2500 zł. Odszedł z HiL.
14. PIECH Czesław - ur. 30.06.1958 Żegocina, zam.Kraków ul.Długosza 13/10, sortowach, żonaty, 1 dziecko, 85338. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany obniżeniem stawki osobistego zaszeregowania o 2 grupy na okres 12-m-cy - strata 4000 zł, gdyż odszedł po kilku miesiącach, poza tym zabrano mu 14-pensję w wys. 9500 zł oraz dodatek stażowy 800zł. Łącznie 14 300. Odszedł z HiL.
15. KOPEĆ Bogusław - ur.1.01.1958 Nowe Brzesko, zam.Proszowice ul.Par-tyzantów 39/52, oper. urz. ciągu walc. żonaty, 2 dzieci, 95282. Za udział w strajku 10.11.82 r. ukarany obniżeniem o 2 grupy stawki osobistego zaszeregowania na 12-m-cy, zabraniem nagrody z uzysku i dodatku stażowego. Łączna strata 5200 zł. po kilku miesiącach odszedł z huty.
16. RÓŻYCKI Andrzej - ur.13.09.1956 Zamość, zam.os.Słoneczne 15/49, oper.urz.walc., żonaty, 1 dziecko.78316. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany pozbawieniem dodatku stażowego w wys.900 zł, zabraniem nagrody z uzysku w kwocie 3000 zł oraz zabraniem 14-pensji w wys.12 000 zł. Łącznie 15 900. Nie pracuje w HiL
17. LACKOSZ Jerzy - ur. 23.05.1958 Kraków, zam.Os.Hutnicze 9/19, ślusarz-energetyk, kawaler, 80787. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabraniem nagrody z uzysku w wys.2000 zł, pozbawieniem 2 grup stawki osobistego zaszeregowania na okres 12-m-cy - 7000 zł. Za odmowę pracy w godz.nadliczbowych - wyrzucony z pracy. W okresie rozpraw sądowych bez pracy ze stratą 21 800 zł za ten okres. Po wygraniu sprawy w sądzie przyjęty do pracy, z której po krótkim okresie sam odszedł. Łącznie 30 800 zł.

18. ŁYSAK Zdzisław - ur.26.01.1935 r. Lipnik, zam.Katowice ul.Dzierżyńskiego 111, sortowacz, kawaler, 97619. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 pozbawieniem dodatku stażowego w wys.1000 zł, zabranieniem nagrody z uzysku w wys.2000 zł oraz zabranieniem 2 grup osobistego zaszerogowania na okres 12 miesięcy - strata 6000 zł. Po kilku miesiącach sam odszedł z huty. Łącznie - 10 700 zł.
19. KRYZA Jan - ur.2.02.1952 r. Niepołomice, zam.Niepołomice ul. Moczydło 22, tokarz 37888, przeniesiony do ZK/K2 Za udział w strajku 10.11.82 zabrano mu nagrodę z uzysku w wys.2000 zł oraz 2 grupy osobistego zaszerogowania na okres 12 miesięcy, strata 12 000. Łącznie - 14 000 zł.
20. SZYMANSKI Henryk - ur.13.08.1947 Chodcza, zam.Kraków ul.Cienista 57/9, oper.Urz. walc., żonaty, 1 dziecko,48942. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2000 zł za IV kwartał. Odszedł z HiL.
21. PUT Piotr - ur.4.04.1963 Bogatynia, zam. Poręba Spytkowska 32 oper.urz.walc. 99091. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem nagrody z uzysku w wys.2500 oraz zabranieniem 14-pensji w wys.1500 zł. Łącznie - 4000. Odszedł z huty.
22. BOBER Andrzej - zam. Nowa Huta, os.Hutnicze, elektronik, żonaty, 1 dziecko. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem dodatku stażowego w wys.1500 zł i nagrody z uzysku 1500 zł. Łącznie 3000 zł.
23. BATOR Michał - ur. 29.09.1945, zam.os.Niepodległości 6/124, oper. urz. walc. żonaty, 4 dzieci, 40376. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem dodatku stażowego w wys.1500 zł oraz nagrody z uzysku w wys. 2200 zł. Łącznie 3700 zł.
24. BUCZKOWSKI Zbigniew - ur.17.03.1960, zam.os.Uroczce 7/119 operator suwnicy, żonaty, 1 dziecko. 40367. Zabraniony z ulicy przez ZOMO i ukarany przez kolegium grzywną 8150 zł za rzekomy udział w manifestacji ulicznej.
25. ZAPAŁA Zdzisław - ur. 10.01.1943, zam. Proszowice ul.1-Maja 67/25, oper.urz. walc., żonaty, 3 dzieci, 35128. Ukarany za udział w strajku 10.11.82 zabranieniem dodatku stażowego w wys.500 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys.2800 zł. Łącznie 3300 zł.
26. MIGAS Wiesław - ur.20.12.1936. zam.Pobiednik Mały 23, ślusarz, żonaty, 2 dzieci, 28165. Za udział w strajku 10.11.82 zabranieniem dodatku stażowego w wys.1400 zł oraz nagrody z uzysku w wys. 2000 zł. Łącznie - 3400 zł.
27. KAŁUŻA Włodzimierz - ur.22.06.1955 Koszyce, zam.hotel os.Młodości 7/16, żonaty, operator suwnicy, 83156. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem dodatku stażowego w wys.500 zł oraz nagrody z uzysku w wys. 2200 zł. Łącznie 2700 zł.
28. ZALAS Jerzy - ur.7.06.1940, zam.Kraków ul.Koniewa 55/113, oper. urz.walc., żonaty, 91767. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem dodatku stażowego w wys. 300 zł oraz nagrody z uzysku w wys.2800 zł. Łącznie 3100 zł.
29. WALKIEWICZ Alfred - ur.11.09.1947 Świerżek, zam.os.Dąbrowszcaków 23/8, szlifierz, żonaty, 3 dzieci, 48841. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem do-

- datku stażowego w wys. 1200 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2000 zł. Łącznie - 3200 zł.
30. JĘDRYKA Andrzej - ur. 17.08.1958, zam. Kraków ul. Francesco Nullo 12/83, oper. urz. walc., żonaty, 3 dzieci, 81495. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem dodatku stażowego w wys. 600 zł, zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2500 zł oraz zabranieniem 14-tej pensji w wys. 10 000 zł. Łącznie 13 100 zł.
31. SZCZUPAK Marek - ur. 19.07.1949, zam. 31-621 N.H.os. Boh. Września 59/45, elektronik, żonaty, 2 dzieci, wiceprzew. Kom. Zakł. NSZZ "S", czł. KRH, jeden z założycieli NSZZ "S" na wydziale i w hucie, długoletni pracownik, 49294. Po wprowadzeniu stanu wojennego kilkunastokrotnie rewizje w mieszkaniu. Kilkakrotnie wezwania i przesłuchania. W pracy represje i obserwacje przez PZPR i wronie związki w postaci bardzo niskiej stawki osobistego zaszeregowania. Różne nieprawdziwe donosy czerwonych na SB.
32. KACZOR Marek - zam. os. Ogrodowe, elektronik, żonaty, 1 dziecko. Ukarały za udział w strajku 10.11.81 zabranieniem dodatku stażowego w wys. 600 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku 1500 zł. Łącznie 2100 zł. Odszedł z Hil.
33. ZAJĄC Stanisław - zam. os. Złotego Wieku 17/46, ślusarz-energetyk, długoletni pracownik, żonaty, 6 dzieci. Rewizje i przesłuchania spowodowane głupimi donosami czerwonych na SB.
34. OPRYSZEK Władysław - ur. 24.06.1959 Myślenice, zam. hotel os. Młodości 7, I walcown. 80729, kawaler. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2200 zł.
35. GIL Marian - ur. 2.06.1943 Jurgów, zam. ul. Cienista 37/25, oper. suwnicy, 35.128, żonaty, 2 dzieci. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany pozbawieniem dodatku stażowego w wys. 1700 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2200 zł. Łącznie 3900 zł.
36. FORMELA Jerzy - ur. 21.11.1934 Grodek, zam. os. Wysokie 4/53, elektronik, 11767, żonaty, 1 dziecko. Różne nieprawdziwe donosy czerwonych na SB spowodowały rewizje i przesłuchania. Długoletni pracownik huty. Ceniony fachowiec.
37. KANIA Marian - ur. 8.09.1942 Sosnowiec, zam. os. Dywizjonu 303 43/42, st. mistrz elektronik, 45669, żonaty, 2 dzieci. Działacz NSZZ "S", czł. prez. KRH, wiceprzew. Samorządu Prac. Po strajku 13.12.81 internowany w Wiśniczu - zwolniony, w pracy zdegradowany z kier. Insp. Elektr. na stanowisko mistrza na P-66. W sierpniu 82 ponownie internowany - Uherce. Po zwolnieniu ciągle wezwania, przesłuchania, przetrzymywania 48 godz.
38. STEPAK Wojciech - ur. 19.10.1946 Wyciąże, zam. os. Kazimierzowskie 29/207, ślusarz, żonaty, 2 dzieci. Ukarały za udział w strajku 10.11.82 zabranieniem dodatku staż. w wys. 1400 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys. 2000 zł. Łącznie - 3400 zł.
39. MIGAS Leszek - ur. 18.03.1958 Kraków, zam. os. Na Wzgórzach 35/8, oper. suwnicy. 96763, przeniesiony do ZO/0-4. Ukarały za udział w strajku 10.11.82 zdjęciem 2 grup stawki osobistego zaszeregowania na 12 miesięcy, strata 12 000 zł, zabrano mu nagrodę z uzysku w wys. 2000 zł. Łącznie 14 000 zł. Za karę dodatkowo przeniesiono go na ZMO z obniżoną stawką.

40. GLICZYMSKI Stefan - ur.20.05.1953 Turek, zam.Smaszew 38 woj.Konińskie, oper.urz.ciągu walc.97222, przeniesiony do W-80.Zatrzymany przez ZOMO i ukarany kolegium 15 150 zł za rzekomy udział w manifestacji ulicznej.Przysłano zawiadomienie na wydział z decyzją przeniesienie na inny wydział w celu zastraszenia pozostałych.I tak przeniesiono go na siłownię W-80 na niższej stawce.
41. RACZYMSKI Stefan - ur.1.11.1945 Gadka, zam.os.Strusia 7/6, operator suwnicy,48843,żonaty,1 dziecko.Ukarany za udział w strajku 10.11.82 zabranieniem dodatku staż.w wys.1100 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys.1800 zł.Łącznie 2900.
42. WASNIEWSKI Adam - ur.24.12.1955 Niepołomice, zam.Wola Batorska 565. oper.suwnicy,80379,żonaty,1 dziecko.Ukarany za udział w strajku 10.11.82 zabranieniem dodatku staż. i nagrody z uzysku.Łącznie 2600 zł.
43. RADZIK Kazimierz - ur.1.06.1937 Chojnik, zam.os.Boh.Września 30/33, oper.suwnicy 40368,żonaty,2 dzieci.Ukarany za udział w strajku 10.11.82 zabranieniem dodatku staż. w wys.1500 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys.2000 zł.Łącznie 3500 zł.
- 44.SAJAK Wiesław - ur.12.07.1953 Kraków, zam.os.Strusia 18/338, elektryk,żonaty,2 dzieci.Wezwania i przesłuchania na SB spowodowane donosami przez partyjnych.
45. MATUŁA Adam - ur.30.11.1956 Jarosław, zam.os.Zielony Jar 2/13, elektryk,67530,żonaty,2 dzieci.Za udział w strajku 10.11.82 ukarany pozbawieniem dodatku staż w wys.900 zł,zabranieniem nagrody z uzysku w wys.1700 zł, zabranieniem 14-tej pensji w wys.8500 oraz Karty Hutnika w wys.7000 zł.Łącznie 18 100 zł.
46. JANKOWSKI Jan - ur.25.11.1953 Kraków, zam.os.Centrum A 14/42, elektryk,64307,żonaty,2 dzieci.Czł.Prez.Kom.Zakł.NSZZ "S",czł.Kom.Socjalno-Bytowej przy KRH.Jeden z założycieli NSZZ"S" na wydziale.Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabranieniem dodatku staż. w wys.1100 zł,zabranieniem nagrody z uzysku w wys.2100,zabranieniem 14-tej pensji w wys.10 000 oraz zabranieniem Karty Hutnika w wys.8500.Łącznie 21 700 zł.
47. MOZYKA Jan - zam.os.Złotego Wieku 12/21,żonaty,1 dziecko,oper.urz.walc.wiceprzew.Kom.Zakł.NSZZ"S" oraz czł.Kom.Płacowej przy KRH.Jeden z założycieli NSZZ"S" na wydz. i w hucie.Za działalność w okresie legalnym po wprowadzeniu stanu wojennego kilkakrotnie rewizje w mieszkaniu.oraz kilkakrotne przesłuchania na Mogiłskiej.Obecnie nie pracuje w hucie.
48. ZBOROWSKI Józef - ur.19.09.1946 Chorzów, zam.os.1000-lecia 61/59, elektryk,33497,żonaty,2 dzieci,działacz NSZZ"S", czł.Kom.Zakł.Represje i donosy przez PZPR na SB co w konsekwencji spowodowało wezwania i przesłuchania.
49. MAŁYSA Stanisław - ur.6.10.1945 Łaganów, zam.Rudno Górne 54,ślusarz,żonaty,2 dzieci.Ukarany za udział w strajku 10.11.82 pozbawieniem dodatku staż w wys.1200 zł oraz zabranieniem nagrody z uzysku w wys.3000 zł.Łącznie - 4200 zł.
50. PAWŁOWSKI Zbigniew - ur.29.12.1946 Heilbronn /RFN/, zam.os.Na Skarpie 20/1,elektryk,43971,żonaty,3 dzieci,działacz NSZZ "S".Jeden z założycieli Związku na wydziale. Prześladowany w pracy przez czerwonych,którzy doprowadzili,że został przeniesiony na inne stano-

wisko już dwukrotnie z niską stawką zaszeregowania.

51. KRZYWORZEKA Stanisław - ur.8.01.1954 Kraków, zam. Wysiołek Luborzycy 57, elektryk, 73855, żonaty, 1 dziecko. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany pozbawieniem dodatku staż. w wys. 700 zł, zabránieniem nagrody z uzysku w kwocie 2000 zł oraz pozbawieniem 14-tej pensji w wys. 8500 zł. Łącznie - 11 200 zł. Za przekonanie przeniesiony przez czerwonych na Zgniatach /ZW/W-1/.
52. WESZKA Zbigniew - ur.26.12.1953 Łeba, zam. Węgrzce 173, energetyk, 71686, żonaty, 2 dzieci. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany pozbawieniem dodatku staż. w wys. 700 zł oraz zabránieniem nagrody z uzysku w wys. 2000 zł. Łącznie 2700 zł.
53. WITKOWSKI Adam - ur.18.12.1959 Kraków, zam. os. Na Skarpie 26/2, elektryk, 91733, kawaler. Za udział w strajku 10.11.82 ukarany zabránieniem dodatku staż. w wys. 300 zł oraz zabránieniem nagrody z uzysku w wys. 1200 zł. Łącznie - 1500 zł.

W kolejnych numerach prezentować będziemy podobne wykazy z innych wydziałów HiL i innych przedsiębiorstwach Regionu Małopolska.

SPIRALA

Dyskusję nad podwyżką cen żywności cechuje pewna doraźność. Wprawdzie porównywanie aktualnych kosztów produkcji rolnej i cen jej produktów wyjaśnia wiele, ale nie mówi jeszcze wszystkiego o mechanizmie kształtowania się kosztów i cen. Pewne pojęcie - bardzo ogólne - daje dopiero prześledzenie odpowiednich danych w długim okresie - stąd tak ograniczona tabela.

	lata	żyto kg	żywiec wieprz. kg	ziemia'mleko ki l.	jaja szt.
pług konny szt.	1913/14	134	23	-	-
	1927/28	51	20,8	455	140
	1934/35	264	62	1078	250
	1948/49	120	15	350	100
	1954	51	8	187	54
	1970	100	17	336	150
	1978	124	14	226	130
	1983	167	23	354	208
superfosfat 100 kg	1913/14	57	9,7	-	-
	1927/28	31	6,5	141	44
	1934/35	73	17	300	70
	1948/49	37	5	115	34
	1954	21	3,4	77	22
	1970	25	3,7	76	34
	1978	16	1,8	29	17
	1983	12	1,6	24	14
garnek emal. szt.	1913/14	6,1	1,0	-	-
	1927/28	5,1	1,0	23	7,2
	1934/35	16,7	3,9	69	16
	1948/49	10	5,3	32	9

	1954	25	4	92	26	55
	1970	10	1,5	30	14	17
	1978	7,4	0,8	13	8	13
	1983	11	1,5	22	13	18
węgiel	1913/14	230	39	-	-	-
t.	1927/28	150	31	682	210	400
	1934/35	430	102	1770	410	1150
	1948/49	155	20	470	135	285
	1954	91	15	337	96	200
	1970	150	23	460	210	260
	1978	97	11	177	105	165
	1983	88	12	179	105	210
widły	1948/49	6	0,8	20	5	12
szt.	1954	5	0,8	18	5	11
	1970	5,5	0,8	17	7,5	10
	1978	7	0,8	13	7,5	12
	1983	9,5	1,3	19	11,3	15
papa	1948/49	20	2,5	60	17	37
rolka	1954	-	-	-	-	-
	1970	23	3,5	69	31	40
	1978	16	1,8	29	17	27
	1983	23	3,2	47	28	38
cement	1948/49	145	19	440	125	265
t.	1954	195	31	720	206	430
	1970	160	24	485	215	275
	1978	170	20	310	180	290
	1983	165	23	355	210	280
cegła	1948/49	285	37	870	245	530
1000 szt.	1954	158	25	580	165	345
	1970	415	62	1260	570	715
	1978	360	42	660	385	615
	1983	570	76	1150	675	920
traktor	1970	26t.	3960	80t.	360001	45000
22 kW	1978	21t.	2450	40t.	220001	36000
	1983	21t.	2800	42t.	250001	34000

Dane są fragmentaryczne, obliczone z dużym zaokrągleniem, chodzi bowiem o przybliżone pojęcie o tym, jak kształtowała się opłacalność produkcji rolnej w stosunku do podstawowych produktów przemysłowych, niezbędných do tej produkcji. Widzimy, ile mniej więcej trzeba było sprzedać zboża, żywności itp., by nabyć niektóre z tych produktów w poszczególnych latach. Od roku 1970 równowartość podana jest w cenach skupu.

Z tabeli tej wynikałoby, że konsekwentny, wyraźny postęp opłacalności w rolnictwie następował tylko w odniesieniu do superfosfatu i w mniejszym stopniu do węgla. Poza tym, na jej podstawie trudno byłoby oprzeć wnioski, że w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu, pięćdziesięciu czy siedemdziesięciu lat miał miejsce rozwój przemysłu, wyraźna zmiana udziału poszczególnych działów gospodarki w tworzeniu dochodu narodowego, przesunięcia w strukturze zawodowej ludności - jednym słowem - istotny postęp cywilizacyjny. W głowie się nie mieści, że na pług konny trzeba tyle samo żywności i więcej żyta niż przed pierwszą wojną światową, a na garnek emaliowany więcej jednego i drugiego.

Inaczej zresztą przebiegało to przed drugą wojną i po niej. Okres przed wielkim kryzysem 1928-1933 był pomyślny dla całej gospodarki i dla rolnictwa, którego opłacalność poprawiła się znacznie. Potem nastąpił kryzys, a z nim straszliwe załamanie cen artykułów rolnych.

Dane z roku 1934/35, a więc już z okresu wychodzenia z kryzysu, pokazują zupełnie odmienną, niż parę lat wcześniej, rzeczywistość. Widzimy, co to były owe "nożyce cen". Potem stopniowo się poprawiało. Przed samą wojną plóg stanowił już równowartość 220 kg żyta, 33 kg żywca wieprzowego i 180 litrów mleka, a tona węgla odpowiednio: 370 kg, 55 kg i 300 litrów. Do stanu przedkryzysowego było jednak jeszcze daleko. Na podkreślenie zasługuje obiektywny charakter ruchu cen, znajdującego się poza czyjąkolwiek decyzją. Szczególnie nikle były możliwości oddziaływania jakiegось polityki gospodarczej w okresie wielkiego kryzysu, który miał charakter światowy i nie zrodził się w Polsce.

Po wojnie tylko przez jakiś czas można było mówić o mechanizmie rynkowym, wkrótce zastąpionym przez centralne planowanie, obejmujące m.in. urzędowe ustalenie cen. Ceny 1948/49 można jeszcze uznać za produkt gospodarki w dużym stopniu rynkowej. W następnych latach, aż do dziś, trudno jest powiedzieć to samo nawet o cenach wolno- czy czarnorynkowych. To prawda, że są one kształtowane bez'czynnika urzędowego, ale na ich wysokość przemożny wpływ ma fakt, że podstawowa część masy towarowej jest sprzedawana po cenach oficjalnych. Dotyczy to cen środków produkcji i wszelkich produktów przemysłowych, używanych przez rolnika, oraz skupu produktów rolnych i cen detalicznych artykułów żywnościowych. Ceny wolnorynkowe różnią się nieraz znacznie od oficjalnych, lecz w przypadku produktów rolnych nie są to różnice rażące, nie stanowią one wielokrotności tych drugich, a zdarza się, że nawet bywają niższe.

Ruch cen oficjalnych odbywa się zazwyczaj w trzech fazach; związanych z sobą, aczkolwiek mijających się w czasie. Podwyżka cen detalicznych żywności uzasadniona jest wysokością cen skupu i koniecznością zmniejszenia, jeśli już nie zniesienia dotacji państwowej, nieodwołnej, gdy cena detaliczna nie pokrywa kosztów skupu, przetwórstwa i handlu.

Odbywa się to zwykle w jakiś czas po tym, gdy zostały podniesione ceny skupu po to, aby produkcję rolną uczynić rentowną. Rolnictwo było na granicy rentowności czy nawet niekiedy poniżej, zbyt drogie bowiem były środki produkcji sprzedawane rolnikom przez państwo, których cena była podnoszona jakiś czas wcześniej.

Ten kołowrót pozornie tylko przypomina klasyczną spiralę cen i płac w gospodarce rynkowej. Tam bowiem również płaca jest swoistą ceną, negocjowaną przez pracobiorców i pracodawców, a wzrost kosztów utrzymania nieraz automatycznie powoduje wzrost płac. Płace zaś stanowią tam na ogół najpoważniejszy składnik kosztów produkcji, zatem znów muszą wzrosnąć ceny i tak dalej...

W naszym przypadku płace stanowią element centralnego planowania, a cały ich system ma na celu głównie niedopuszczenie do pojawienia się nadmiaru pieniędzy na rynku. Nie jest to system w pełni skuteczny, lecz mimo to nie wydaje się, by płace były głównym czynnikiem cenotwórczym. Ich udział w kosztach produkcji przemysłowej zawsze był /w porównaniu z Zachodem/ niski - rzędu kilkunastu procent. W okresie kryzysu stał się relatywnie niższy, gdyż inne czynniki podrożały jeszcze bardziej niż praca.

W każdym razie stosunkowo łatwo daje się wykaazać, dlaczego mają być podniesione ceny skupu i ceny detaliczne, natomiast uzasadnienie ruchu cen na produkty przemysłowe pozostaje niejasne. W większości z nich mieści się wysoka akumulacja, niezbędna m.in. po to, by było z czego dotować żywność. Ale dotuje się również wydobycie węgla, który z punktu widzenia rolnika jest nie tyle artykułem konsumpcyjnym, ile służącym do produkcji i będącym elementem uwzględnianym w kosztach hodowli. Już to wystarczyłoby, aby całkowicie uniemożliwić realną kalkulację kosztów.

Jeśli zgodzimy się, że prawa ekonomiczne mają obiektywny charakter, to będziemy musieli uznać, że gdzieś w procesie produkcji bez

przerwy kształtuje się jakaś stale zmieniająca się wartość, jednak o niej nie wiemy niczego, gdyż nie znajduje ona odbicia w cenach urzędowych, zmienianych co jakiś czas, nierzadko po długich okresach. Głównie po to, by rządy już od dawna dysproporcje na jakiś czas zmniejszyć. Jest to operacja na tyle drastyczna, że na ogół nie idzie się tak daleko, aby całkiem te dysproporcje znieść. Zresztą, byłoby to chyba niemożliwe w warunkach, kiedy cena ani nie ma związku z wartością towaru, ani nie zależy od stosunku popytu i podaży.

W gospodarce rynkowej popyt jest czynnikiem, który - jeśli jest to konieczne - krępuje produkcję i rozbudowę aparatu produkcyjnego. W gospodarce planowej konieczna jest decyzja - w założeniu - oparta na ocenie potrzeb i możliwości. Zatem cena, nawet niezwykle wysoka, zawierająca kolosalną akumulację, nie stymuluje wzrostu produkcji danego towaru. Nierzadko ustala się ją tak wysoko po to, by zmniejszyć popyt, który nie ma być zaspokojony. Wydawać by się mogło, że indywidualna gospodarka chłopska powinna w sposób rynkowy reagować na zgłaszany przez rynek popyt. Jednakowoż dzieje się tak w bardzo tylko ograniczonym stopniu. Wygląda na to, że system sztywnych cen skupu i środków produkcji ogranicza taką możliwość. Kierowanie przy pomocy parametrów okazuje się równie nieskuteczne jak nakazowe, tylko cel tego wydaje się jakby wątpliwy...

Wszystko to jest mało przejrzyste, nie poddające się wyjaśnieniom, lecz do rolnika dochodzą dwa precyzyjne parametry. Ile uzyska za swoją produkcję i ile go ona kosztowała. W przeciwieństwie do okresu przedwojennego, ten pierwszy element można uznać za stabilny nawet przy sezonowych wahaniami i zdarzających się kłopotach ze zbytem - np. jabłek. Zmiana cen odbywa się w górę. Ale to wszystko nie pozwala na należyte skalkulowanie produkcji ze względu na ów drugi parametr, czyli ceny zaopatrzeniowe. O tych cenach też wiadomo, że zmieniają się tylko w jednym kierunku, lecz nie wiadomo kiedy i o ile.

Obecnie dyskutuje się podwyżkę cen żywności w oparciu o sześciomiesięczne ceny skupu, jakoś może skorelowane z wcześniejszymi ustaleniami cen środków produkcji. Ale od początku 1985 roku wymieniony w naszej tabeli traktor podrożał z 471 do 650 tysięcy złotych. W życie i żywcu wieprzowym wrócił on do ceny z około 1970 roku. Jednocześnie wzrosły podatki, składki ubezpieczeniowe i emerytalne, ma podrożeć węgiel i energia elektryczna. Na porządku dnia zapewne staną więc nowe ceny skupu, lecz też nie wiadomo kiedy i na ile, a tymczasem produkcja skalkulowana w roku 1984 stanie się mniej opłacalna, a może deficytowa. Po jakimś więc czasie okaże się, że dotacja do żywności jest za wysoka i trzeba podnosić ceny. W dodatku wiadomo, że traktor tak samo się nie dostanie za 650 jak i za 471 tysięcy. By go naprawdę mieć, trzeba dołożyć wiele pieniędzy i wiele starania, co dodatkowo obciąża koszty produkcji. To samo dotyczy innych narzędzi i materiałów. Lecz na podstawie danych statystycznych tego nie można zobaczyć. Sytuacja jest więc gorsza niżli one wskazują, lecz nie wiadomo o ile.

Ruch cen, taki jaki możemy prześledzić na tej tabeli nie upoważnia do twierdzenia o długotrwałym, dominującym nad okresowymi wahaniami, postępie ekonomicznym w produkcji rolnej w ostatnich trzydziestu paru latach. Nawet gdyby odliczyć obecny kryzys, do czego wszakże nie ma podstawy, gdyż jest to w końcu integralna część naszej historii gospodarczej. Postęp byłby wtedy, gdyby wzrost dochodowości pozwalał na wprowadzenie nowej techniki. Przed rokiem 1950, gdy na 25 milionów ludności kraju było 16 milionów wiejskiej, dochód z produkcji rolnej musiał starczyć na - mówiąc w skrócie - pługi, garnki i widły. Obecnie, gdy na 37 milionów ludności jest 15 milionów wiejskiej, ten dochód powinien pokryć koszty owych widel i garnków, które są nadal potrzebne, i pozwolić na zastąpienie pługów /wraz z końmi/ traktorami, wraz z najlepszym osprzętem. Tej możliwości jakby nie widać.

Jesienią 1980 roku podano, że jedynie 4 procent produkcji przemysłu

słowej przeznaczają się na potrzeby rolnictwa. Skoro popyt zgłaszany przez rolnictwo nie był w stanie rozszerzyć tego marginesu, to jedynym sposobem zbliżenia się do, nie dającej się osiągnąć, równowagi na tym rynku musi być podnoszenie cen. W konsekwencji z produkcją rolniczą dzieje się to samo, co z zaopatrzeniem rolnictwa.

Nie wiemy, czy, w którą stronę i na ile zmienił się ten czteroprocentowy margines sprzed pięciu lat. Po rezultatach sądząc - niewiele. Popyt na konsumpcyjne produkty przemysłu jest niezaspokojony, podobnie jak zapotrzebowanie rolnictwa na środki produkcji. Produkcja zaopatrzeniowa dla potrzeb gospodarki społecznej także daleka jest od pokrycia zgłaszanych potrzeb. Budzi to więc pytanie na temat przemysłu: co się z nim dzieje, dla kogo on właściwie pracuje, jaka jest jego efektywność, mierzona stosunkiem nakładów do efektów, a nie procentami wzrostu, które mówią bardzo niewiele? Mechanizm niedomagań rolnictwa wydaje się przy tym klarowny i prosty, co chyba pozostaje w związku z tym, że stosunkowo lepiej niż inne działy wywiązuje się ono ze swoich zadań.

ERNEST SKALSKI

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/.

ALEKSANDER RYBCZYŃSKI

PRZELOT NAD BERLIŃSKIM MUREM

spróbuj porzucić zbędny bagaż
choć czasem pozbawią cię niezbędnych pamiątek
i pamięć będziesz musiał odłożyć na później
na przyszłość - nierealną
mimo to - spróbuj
spróbuj żyć tak jakbyś chciał
jak powinienes
cóż ci pozostało poza kilkoma złudzeniami
które i tak rozwieją się gdy dystans zmaleje
pomyśl co jest ważniejsze od prawdy
której i tak nie poznasz do końca
więc przynajmniej nie zaprzeczaj jej
i bądź uczciwy
zaprzeczaj kłamstwu
nie w milczeniu
bo milczenie pogłębia rany
spróbuj mówić pełnym głosem
pomimo że znasz cenę słowa
cóż więcej ci grozi
poza zaciśnięciem muru

MIEJSCE

siedzę na wolności
w dawnym sercu potwora
obecnie w sercu Europy
miało unosi się beztrosko
dzwonią łańcuchy alkoholi
wielobarwne języki kióćą się
z muzealną ciszą
Pinakoteki - Thoma Klimt Friedrich
von Stuck Rembrandt Elsheimer i da Messina
na więcej nie było czasu
pozostałe godziny wydałem na życie
pewny że kolczasty drut rdzewieje
i rozwija tylko wyobraźnię
siedzę na wolności
spotykam wszystkich
także dziewczynę z Irlandii
mówi: twój dom jest tam gdzie twoje serce
moje serce unosi się w powietrzu
i nie ma lepszej ojczyzny
chociaż tak lubię poduszkę pod głową
i całą noc chciałbym rzeźbić twoje piersi
jednak jestem artystą
i walczę z Christo
przecinając wszelkie sznurki

IRLANDIA

sen z cyklu: application for visa

już się wydawało
że ucieczka udała się
chmury leciały wysoko
żagle mocno opinały piersi
samoloty przylatywały odlatywały
świt był słoneczny
dawał wysokie buty
i skórzaną kurtkę
abyś utrzymał się w powietrzu
bo czasem porwał cię wiatr Kawasaki
czasem Harley Davidson
i zaglądałeś do Irlandii
rozbijałeś namiot na Achill Island
żeby pogadać z oceanem
wypić parę piw zapalić skręta Golden Gate
i obudzić się gdy minie ból głowy
i będziesz pewny że ucieczka się udała
byłeś trochę szalony
zamiast paszportu
na granicach wyjmowałeś wymięty wiersz
nikt cię nie zatrzymywał
chociaż koszulki pilnował napia
Property of Alkatraz
albo Property of PRL

co nie jest scheissegal
ale nikt w drodze nie wie takich rzeczy
i celnicy machali ręką
i wydawało się że ucieczka udała się
i zatrzymywałeś się tylko tam
gdzie nie było napisów
nie deptać trawników
albo kein zutritt anmeldung gegenüber
i nikt nie pukał w czoło
gdy twierdziłeś że wpadłeś z piekła
aby pożyć trochę z przestrzeni
w Parque del Retiro spotkałeś dziewczynę z pomarańczą
zapytała jak dojść do ogrodu zoologicznego
a potem o cel życia
wydawało mi się że ucieczka udała się
więc odpowiedziałem
celem życia jest ruch
i to wystarczyło
aby ciemnowłosa poszła ze mną dalej
pomarańcza toczyła się przed nami
chowając się o zmierzchu za horyzont
nie byłem już samotnym wędrowcem
do ruchu dodałem miłość
i kilka wielkich słów w których mieściła się poezja
dziewczyna była zbyt piękna
zabrakło jej sił i chciała zbudować dom
oczywiście nad brzegiem morza
mnie zabrakło sił aby zatrzymać serce
i poszedłem dalej
bo wydawało mi się że ucieczka jest najważniejsza
i powinna się powieść
bo wydawało mi się że świat jest zbudowany z muzyki
a życie to podstawowe akordy
zapomniałem o koszuli
która kurczyła się krępując ruchy coraz bardziej
strażnikom przestały już wystarczać wiersze
zaczęli zaglądać w oczy
i pewnego dnia zażądaliby paszportu
porzuciłem
wiatr Kawasaki
/szaleje teraz na przylądku Horn/
ponieważ wydaje mi się że ucieczka się powiodła
że wyrosłem z koszulki z chorymi napisami
że wystarczy teraz nabrać powietrza
aby ją rozerwać
i powrócić do dziewczyny opuszczonej na brzegu morza

* * *

zlokalizowałem serce poety
ale czy to wystarczający powód
aby oddać się w ręce oprawców

/pytanie to zadaję w obecności M
stojącej jeszcze pod prysznicem
i śpiewającej irlandzkie piosenki/

ALEKSANDER RYBCZYŃSKI

NIEPOEZJA

Przeraźliwie to słuszne: "Chociaż jesteś nieludzki, / tchórzliwie słuchasz każdego rozkazu, / znęcasz się nad bezbronnym i świadczysz fałszywie / choć czujesz się bezkarny, / bo rządzą nami głupcy i siepacze: / i ty jesteś tylko człowiekiem, / i tobie tylko ludzki los pisany". I co z tego? Nic, to tylko wiersz. Wiersz? Przecież w tym nie ma śladu poezji...?

Owszem, jest w tym tomiku kilka "fraz godnych pamiętania", jak w "Liście do Ryszarda Krynickiego" pisał Herbert. Na przykład wiersz "Świat woli": "Świat woli prostsze kalectwa: // niewiarę, bezduszność, brak serca". Na przykład "Postój", w którym celnik w wagonie "...wspinając się na palcach / sprawdza, czy nikt nie ucieka; góra munduru / unosi się, odsłania pulchny, / bezbronny brzuch i wtuloną weń // kaburę pistoletu". Na przykład "Podobno", sławna już enegdotka o liberałach w politbiurze, którym brakuje "...silnej ręki, // żeby ów liberalizm wprowadzić w życie". I jeszcze wiersze "Ad hominem" i "Realizm-socjalistyczny", pierwszy o Brechcie, który "...zatrzymał się tylko tak długo / w tylekroć przez się opiewanym Kraju Rad, / ile tego wymagały okoliczności / i odetchnął dopiero w Stanach Zjednoczonych, / o których niewiele dobrego // miał do powiedzenia.", drugi trzeba zacytować w całości: "Duch gołąbka pokoju / z białą chorągiewką w dziobku / lata nad berlińskim murem: / strzelec wyborowy / trzyma go na muszce". I chyba - zgodnie zresztą z tytułem tomiku - niewiele więcej.

Rzeczywiście, niewiele tego, nawet jak na tak cienką książeczkę. Spośród przeszło siedemdziesięciu zamieszczonych w niej utworów / najczęściej paruwersowych / pozostałe są przeważnie albo właśnie przeraźliwie słuszne, albo przeraźliwie wzniosłe /np. ten, zaczynający się od słów "Choćbyś była, prawdo, tak prosta / jak prawa przyrody, / choćbyś była tak prosta / jak ludzkie sądy i ludzkie wyroki, / komu miałbym cię mówić?..."., większość zaś jest nijakich.

Możnaby oczywiście dokonać analizy tych wierszy, udokumentować oceny, wykazać wpływ Brechta /z "Elegii bukowskich i wierszy", które Krynicki parę lat temu tłumaczył/, możnaby szukać słów-kluczy, badać strukturę etc. Sądzę jednak, że nie miałoby to wielkiego sensu. Ważniejsze od tego, czym ta poezja /niepoezja?/ jest, wydaje mi się to, czym ona nie jest, czym nie chce być.

Co to jest poezja? "Czym jest poezja, jeśli nie ocala / narodów ni ludzi...?" - pyta /za Miłoszem/ Krynicki. A w innym wierszu: "Moje wiersze nie otwierają / bram więzień i obozów". Więc jaka jest waga słów, nawet najpiękniejszych, wobec zbrodni i przemocy, wobec ludzkiego cierpienia? Czy wobec cierpienia wolno pisać wiersze, coraz piękniejsze, coraz bardziej wyrafinowane? Skoro "...Dwa proste zdania: /"Solidarność żyje!" / "Wolności dla więźniów politycznych!" / które z uporem odżywają/ na ustach i na murach, / wymagają dziś więcej talentu i wiary, / niż pisma wybrane"?

Zapewne błąd korektorski, powinno być "Wolność dla więźniów politycznych" - zmiana, poetyzacja cytatu z ulicy nie wydaje się być w tym wierszu uzasadniona. Jest to zresztą osobny problem - podobno /nie udało mi się tego sprawdzić/ egzemplarze tomiku, które przeszły przez ręce autora, są dosłownie popstrzone od poprawek. Korekta, która jest w ogóle słabą stroną wydawnictw niezależnych, w przypadku poezji ma znaczenie szczególnie. Czasem wystarczy opuścić przecinek, a

Krynicki daje odpowiedź, prawda, że opatrzoną znakiem zapytania: "Czym więcej być może, jeżeli nie /.../ głosem sumienia?"

Być głosem sumienia - znaczy mówić prosto, jak najprościej. Przywracać jednoznaczność podstawowym pojęciom, takim jak dobro, zło, wolność, prawda. Uznać, uwierzyć, że nawet dziś mogą one znaczyć wprost, a nie przez kontekst, w jakim zostały użyte. Podjąć heroiczny wysiłek rekonstrukcji języka - tak, by przestał być światem samym dla siebie, światem coraz bardziej skomplikowanych konstrukcji intelektualnych, coraz mniej przejrzystej gry pozorów, aluzji, pytań, coraz piękniejszych wierszy. By z powrotem zaczął nazywać rzeczy wokół nas.

Tyle, że diabeł wątpliwości, przegnany drzwiami, z powrotem wciśka się kominem. I te tak pozornie proste i jednoznaczne wiersze - przy bliższym przyjrzeniu się - wcale takimi nie są. Bo np. Krynicki nie wyjaśnia, jaka jest różnica, jaka jest podstawa rozróżnienia między "nieurodzonymi i nienarodzonymi, bratobójcami i samobójcami, niewolnikami i ofiarami przemocy, wywyższonymi i poniżonymi, biednymi i ubogimi, zapomnianymi i tymi, o których nie chcemy pamiętać", i dlaczego to właśnie za nich, a nie za wszystkich innych mamy się modlić /wiersz "Modłmy się"/. Bo choć oczywiście jest, że "...prawdziwym blaskiem / witraż świeci dopiero // wewnątrz kościoła" /eżże, czy na pewno? a co to takiego prawdziwy blask?/ - ale co ma dla mnie wynikać z tej informacji? Bo zgadzam się, że "rządzą nami /.../ siepacze", ale czy na pewno są oni głupcami? I wątpliwość najważniejsza - czy to jeszcze jest poezja?

To tylko wiersze... A czy wiersze mogą być "tylko"? Oczywiście. Ołbrzymia większość wierszy to właśnie tylko wiersze. I dotyczy to niekoniecznie tylko tych przeciętnych, średnich, także tych najwybitniejszych. Poezja jest na ogół dla twórcy zawodem, rzemiosłem: umiejętnością niebanalnego mówienia, budowania sensów, środkiem przekazywania społecznie ważnych idei, metodą reinterpretacji i rozwijania kultury. Ale czasami, rzadko, dla nielicznych, jest czymś innym, czymś więcej. Czymś najważniejszym, jedynym. Grą o własne życie, o jego sens. Grą, w której sukces wcale nie jest z góry przesądzony.

Zza tych niewielkich, niedobrych wierszy przeziere ołbrzymi wysiłek mówienia. Bo być może w ten sposób da się jeszcze coś ocalić.

Jeśli jeden z najwybitniejszych poetów polskich, jeden z twórców o największej wrażliwości językowej wydaje tomik wierszy ewidentnie złych /i o których musi przecieżyć wiedzieć, że dobre nie są/, to może to oczywiście znaczyć, że się "skończył"; że jego talent się wyczerpał, że nie ma nic do powiedzenia, że publikuje, bo jest przypisany do społecznej roli poety i musi utrzymać się w kursie. Albo że jakiś kryzys. Ale może znaczyć także coś innego. Że nie może, nie potrafi mówić, ponieważ język przestał być narzędziem porozumiewania się, nazywania rzeczy, a stał się jedynie sposobem zagłuszania, zakrykiwania nicości między ludźmi. I że świat przestał być miejscem wspólnym, a stał się przerażającym i okrutnym wrogiem każdego z nas z osobna. Świat? Ludzie? Przetłumaczmy to sobie na zakres dostępny nam w doświadczeniu. Znaczy to tyle, co ja - ty, my, Polska.

zmienia się sens całego utworu. A zdarzają się rzeczy zupełnie skandaliczne, dość przypomnieć błąd ortograficzny "zafundowany" przez Oficynę Literacką Herbertowi w "18 wierszach". Powinno stać się bezwzględnie przestrzegana regułą, że wydawnictwo przed rozpoczęciem druku udostępnia autorowi makietę tomu dla dokonania ostatecznej korekty.

Oczywiście wojna jaruzelska nie jest w tym wypadku żadną cezurą /mimo iż w tomiku wiersze "wojenne" oddzielone są od wcześniejszych/. Może tylko przyspieszyła proces rozwoju, czy też zanikania poezji Krynickiego. Symptomy były widoczne już wcześniej, w tomiku "Nasze życie rośnie", nawet już w "Organizmie zbiorowym".

■

Na koniec wszystko, co zostało powiedziane powyżej trzeba ująć w jeszcze jeden nawias. Bowiem nasuwa się pytanie, czy nie jest to przypadkiem wyłącznie problem Krynickiego. Zawsze były jakieś podłe czasy, zawsze był kryzys języka, a mimo to ludzie parę rzeczy wymyślili, parę spraw im się udało. Nawet napisali kilka niezłych wierszy. Nie podejmuję się tego rozstrzygnąć.

GWIDO ZLATKES

R.Krynicki: "Niewiele więcej i nowe wiersze", Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy, Warszawa 1984, cena 110,-

DROGI DO GWIAZD

1.

Jak podała prasa, podczas ostatniej narady Ogólnopolskiego Zespołu Pisarzy partyjnych przy KC PZPR dokonano "politycznej oceny czasopiśmiennictwa literackiego". Opinie były podobno różne, zaś najbardziej optymistyczną wygłosił Roman Samsel, dowodząc, że czasopisma literackie są dziś "ciekawsze niż kiedykolwiek". Nie podejrzewam, by członek Zespołu Pisarzy Partyjnych myślał o wydawnictwach niezależnych, których obfitość i różnorodność istotnie wniosek tego rodzaju mogłaby usprawiedliwiać. Zadziwiająco krótka pamięć pozwoliła Samselowi na pominięcie osiągnięć polskiej prasy po roku 1956, a nawet w latach sześćdziesiątych. Wiadomo jednak, że ludzi, którzy angażują się w długotrwały sojusz z władzą cechować powinna pamięć dobra, ale krótka. Inaczej trudno uniknąć kłopotów.

W chwili, gdy piszę te słowa, to znaczy na początku 1985 roku, proces unicestwiania prasy literackiej i społeczno-kulturalnej dobiega końca. Wyjątkiem pozostają naturalnie periodyki katolickie, lecz - ze zrozumiałych względów - nie mogą one spełniać tej funkcji, która przypadała niegdyś "Twórczości" i "Współczesności", a przejściowo choćby "Literaturze" czy "Kulturze". Ledwie wegetujące tygodniki i miesięczniki przeżywają obecnie okres wręcz fatalny. Z jednej strony odczuwa się skutki pracowitości ambitnych cenzorów, z drugiej - olbrzymie znaczenie ma bojkot ze strony środowiska pisarskiego. Literaci okazali się bardziej zdyscyplinowani niż można było przypuszczać. Po roku 1981 znane nazwiska zniknęły, spadło również społeczne zainteresowanie.

Nie oznacza to bynajmniej, że prasę przestano nagle czytać i kupować. Taki stan rzeczy byłby raczej mało prawdopodobny: po prostu dla większości ludzi nawet najgorsza i najbardziej zakłamana gazeta - podobnie jak książka i telewizja - wchodzi w skład intelektualnego wyposażenia człowieka końca XX wieku. Będzie czytana i kupowana, co rzec jasna nie równa się bezkrytycznej aprobacie.

Niektóre czasopisma, takie jak "Rzeczywistość", "Żołnierz Wolności" i jego literacki organ "Nike", wreszcie "W służbie narodu" trzymają się niezmiennie problemów aktualnych, "stoją twardo na stanowisku", nie unikają tematów drażliwych, nie muszą się ratować przed naporem rzeczywistości ucieczką w bezpieczną neutralność. O ewident-

nych kłamstwach pisać nie warto, zajmijmy się raczej działaniami bardziej wyrafinowanymi, czyli praktykami tych redakcji, których głównym dylematem stała się kwestia, w jaki sposób - nie kłamiąc - nie powiedzieć jednocześnie prawdy. Łatwo zauważyć, że czasopisma te dbają nie tylko o nakład, ale także o swą reputację. A jednak prowadzoną przez nie grę trudno nazwać uczciwą, co postaram się udowodnić w dalszej części na kilku przykładach.

2.

W latach 1980-1984 zmieniło się sporo na ziemi, zwłaszcza na tym jej skrawku, który zamieszkuje nasz niezbyt liczny naród. Ale gwiazdy nie zmieniły się zupełnie. Gwiazdy były zawsze te same i prawie zawsze - przynajmniej z punktu widzenia polityki - bezpieczne.

Miesięcznik "Fantastyka" ujrzał światło dzienne w pamiętnym roku 1982, jednym z najmroczniejszych w powojennej historii Polski. Już ten fakt wydaje się znaczący. Oczywiście, zapotrzebowanie na periodyk jak i całą literaturę "science-fiction" /dalej używam skrótu SF/ istnieło wówczas i istnieje dalej. To prawda. Jednak istnieje również zapotrzebowanie, może nie mniejsze, na powieści Celine'a i Orwella, XX-wieczną klasykę, dzienniki Gombrowicza, uczciwe publikacje z zakresu najnowszej historii Polski i Europy. Jeśli w księgarniach nikt nie pyta o "Rok 1984" czy wspomnienia Nadieżdy Mandelsztam, nie stanowi to jeszcze dowodu, że książki te są mniej popularne niż powieści SF. Istnieje zapotrzebowanie na chleb i wino bułgarskie, na łódówki i maszyny do szycia, na rowery i kiełbasę. Można wybierać, które ze społecznych potrzeb wymagają najpilniejszego zaspokojenia. Decyzja w tej sprawie nie należy w PRL do społeczeństwa, podejmuje ją władza.

W państwie totalitarnym moda jest pojęciem względnym, modą można manipulować o wiele łatwiej niż w innych systemach. Określona moda rozwija się na ogół wtedy, gdy otrzymuje odpowiednie warunki rozwoju lub co najmniej życzliwą tolerancję ze strony władz. Literatura SF, szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego, stała się potrzebna, wypełniała bowiem pewną lukę w życiu kulturalnym. Zastąpić miała powieść współczesną, opanowaną teraz przez rządowych pisaków w rodzaju Bratnego, Sokorskiego czy Grzymkowskiego; powieść młodzieżową przeżywającą głęboki kryzys, atrakcyjny film przygodowy, wreszcie - komiks, na który brakowało pieniędzy i pomysłów /"Fantastyka" drukuje zresztą regularnie głupiotkie historyjki obrazkowe/.

Fanatycznych zwolenników SF spotykało się i w poprzednich latach, teraz stali się jakby bardziej widoczni, otrzymali wysokonakładowy miesięcznik, równoległe powstały kluby miłośników literatury SF, pozwolono na organizowanie giełd i innych imprez. Tak narodził się hałaśliwy ruch entuzjastów fantastyki naukowej.

Rodzima twórczość SF różni się znacznie od dokonań tego typu sprzed lat mniej więcej dwudziestu. Starsze powieści, głównie Lema, przez niektórych krytyków ledwie akceptowane, można było mimo wszystko porównać z prozą Dygata, Brandysa, Konwického, Andrzejewskiego. Najnowsza proza SF prezentuje poziom bez porównania niższy. Wyobraźnię autorów cechuje prymitywizm, brak zmysłu estetycznego, intelektualne ubóstwo, upodobanie do fabularnego prostactwa. Być może dlatego, że nauka staje się coraz bardziej skomplikowana, górę nad "science" bierze "fiction", najczęściej w złym guście.

Dwa powtarzające się stale wątki mają przyciągnąć uwagę czytelnika. Po pierwsze: gwałt, rzecz prosta w wymiarze kosmicznym /te gwiazdne wojny nie spędzają cenzorom snu z oczu/. Po drugie: subtelny lub mniej subtelny erotyzm. W numerze 3 z 1982 roku ostatnie dzieło Maciejka Parowskiego reklamowano na przykład takim fragmentem: "Leżała naga, równomiernie opalona, piękna w błękitnej pościeli pod baldachimem na złotych kolumnach. Uśmiechała się do mnie..."

Jak twierdzą specjaliści, literatura SF rozwija się szczególnie w USA i ZSRR. Aktywność Amerykanów nie budzi zdziwienia, skoro przodują oni także w innych rodzajach kultury masowej. Zresztą amerykańska proza drugiej połowy XX wieku też należy do najciekawszych na świecie. Fenomen rosyjskiej SF to swego rodzaju zagadka, jeśli zważyć, że zgodnie z obowiązującą doktryną komunistyczną przyszłość jest zdeterminowana, a bieg dziejów - choćby najodleglejszy - nie dopuszcza dowolności. Biorąc pod uwagę kryterium czystości ideologicznej, wszystkie powieści SF winny zostać potępione. Ustępstwo odpowiedzialnych czynników w ZSRR okazało się chyba pomocne dla potencjalnych protektorów tego ruchu - radzieckie wzory były w pewnych kołach zawsze dobrze widziane.

Redaktorzy "Fantastyki" to ludzie niewątpliwie zręczni, operatywni, świadomi postawionych im zadań i ograniczeń. Słyszy się często, że SF to dla młodzieży etap niejako początkowy, po którym przyjdzie kolej na poważniejszą lekturę. Tak pozytywna ocena wydaje się nader problematyczna. Choćby dlatego, że ów kapitał społecznej energii mógłby zostać wykorzystany lepiej i szybciej. Literatura SF w obecnej postaci to pożywka dla tych, którzy wybrali dobrowolnie amnezję - smaczna potrawa dla obojętnych i znużonych, przyciągająca koniunkturalnych "artystów", epigonów, naśladowców i zwyczajnych grafomanów.

3.

Na gwiazdy można spojrzeć jeszcze inaczej, powracając do starej tradycji, która mówi, że właśnie w gwiazdach zapisane zostały losy ludzi, państw i narodów. Jeśli chodzi o horoskopy, to w PRL wolno prawie wszystko. Wolno sprzedawać je na ulicach, drukować w gazetach, a od roku 1982 nawet pisać na ten temat książki.

I tu, podobnie jak w przypadku SF, mamy do czynienia z autentycznym zapotrzebowaniem. Ludzie poszukują horoskopów, senników, podręczników wróżb prawdziwych. Jestem przekonany, że dzieła z zakresu czarnej magii rozchodziłyby się równie szybko. Wielkie jest bowiem zwątpienie w czasach zamętu.

Horoskopy drukują prawie wszystkie gazety codzienne oprócz organów prasowych PZPR, co stanowi niepodważalny argument na rzecz pluralizmu naszej prasy. Organ ZSL też horoskopy publikuje /system wielopartyjny!/. Niektóre periodyki podchodzą do sprawy poważniej - celuje w tym zwłaszcza krakowskie "Pismo Literacko-Artystyczne". W numerze 12 z 1984 roku zajęło się na przykład tarokiem. Zamiar chwalebny, lecz realizacja...

Autorka zamieszczonego w "Piśmie" szkicu zapomina, że polska nazwa tej karcianej gry i zarazem systemu wróżbiarskiego brzmi nie "tarot" lecz "tarok" /wystarczyło sprawdzić w słowniku Kopalińskiego/. Co gorsza nie wie, że "tarok" czy nawet "tarot" podobnie jak większość części rzeczowników w języku polskim odmienia się przez przypadki. Ciekawe, że nie wiedział o tym także redaktor.

Ponieważ nie jestem specjalistą w zakresie taroka-tarota, nie potrafię ocenić walorów tego erudycyjnego szkicu. Jednak nawet dyletant zauważy, że dwie trzecie owej publikacji to pobieżne /i mało dokładne!/ streszczenie książki Alfreda Douglasa wydanej w Zachodzie w masowym nakładzie i czytanej podobno przez licealistów w większych miastach Polski.

Ci, którzy nie darzą zaufaniem kart, powinni zająć się studiowaniem chińskiej Księgi Przemian. Prawie jednocześnie ujawniły swój entuzjazm dla tego dzieła: Krajowa Agencja Wydawnicza, "Tygodnik Demokratyczny" i - jakże inaczej - krakowskie "Pismo". KAW nie krępowała się zupełnie i we wstępie do polskiego przekładu postawiła sprawę otwarcie. Otóż Księga Przemian ma być remedium dla polskiego czytelnika, nękanego ekscesami "Solidarności", opozycji, podziemia i innych "burzycieli ładu". Czyżby marksizm-leninizm nie wystarczał bo-

Journalist: sprawiedliwej wojny? Czyżby ich orężem miał się stać... konfucjonizm?

Zaden z partyjnych ideologów nie zwrócił uwagi, że nowa moda godzi w podstawy materializmu dialektycznego /który zresztą nie jest moją ulubioną filozofią/. Publikacje z zakresu magii czy wróżbiarstwa na równi z dziełami teologicznymi znajdowały się zawsze na sowieckich indeksach. Ale na taki "liberalizm" może sobie pozwolić ten, kto czerpie z niego chociaż minimalną korzyść. Zresztą... kto wie... Może Karol Marks oddawał się potajemnie sztuce stawiania horoskopów, a Engels pytał chińskiego wyrocznię o los II Międzynarodówki? Może i sam Włodzimierz Iljicz...?

W redakcji "Żołnierza Wolności" do Księgi Przemian nie zaglądano, porzostając tymczasem na krótkim kursie wschodnich stylów walki.

Wiadomo: sztuka wojenna dalszego i bliższego Wschodu przydać się może żołnierzom, ale i funkcjonariuszom sił porządkowych, wyposażonych zresztą nie tylko w podręczniki karate. I ta moda zasługuje na analizę. Warto na przykład rozważyć, czy nie działa tu intuicja mistyfikująca: siłę rzeczywistości /społeczny opór/ zastąpić ma w świadomości czytelnika idea siły iluzorycznej /siła pięści/.

Dla "Pisma Literacko-Artystycznego" popularyzacja Księgi Przemian jest częścią szerszej akcji. Tłumaczy się więc poezję wietnamską, pisze o wschodnich technikach samoobrony, propaguje buddyzm Zen - filozofię życia jakże wygodną z perspektywy rządzących! Entuzjazm redakcji nie zna granic - w komentarzu podpisanym skrótem "red" możemy przeczytać: "Kultura Wschodu jest dla nas, Polaków, częścią dziedzictwa, tak jak strój narodowy". Porównanie chyba niezbyt szczęśliwie dobrane, ale zamierzenie autora rysuje się dostatecznie jasno. Skąpa erudycja czy też nie najlepsza pamięć utrudnia mi wyszukanie przykładów dla poparcia owej tezy. Chociaż... Wszak pisze młodopolski wieszcz: "Chińczyki trzymają się mocno!?" Czytelnicy, którzy w gimnazjum nie opuszczali lekcji polskiego, pamiętają zapewne, że rozmówca Czepca, Dziennikarz, ma Chińczyków szczerze dość. Zupełnie inaczej niż dziennikarz krakowski /coż za zbieg okoliczności!/ "Pisma Literacko-Artystycznego".

Co prawda osobliwe to "dziedzictwo". Znajomość języka chińskiego, japońskiego czy sanskrytu spotyka się w naszym kraju dość rzadko. Nie grzeszą nią również autorzy najrozmaitszych opracowań drukowanych w "Pismie" i na łamach innych periodyków. O przekładach z literatur Dalekiego Wschodu - poza kilkoma wyjątkami - lepiej nie mówić. Fascynacja czy moda to jeszcze nie tradycja, która z egzotycznych kultur nie zaczerpnęła nic albo prawie nic.

Dziedzictwem Polaków jest bowiem kultura śródziemnomorska, od dwudziestu wieków chrześcijańska. Niezależnie od wyznawanego światopoglądu, dzieje naszej tradycji biorą swój początek w trójkącie Ateny-Jerozolima-Rzym. Tajemniczy Orient zawsze wydawał się Europejczykom atrakcyjny, warto go poznawać i badać, lecz bez typowego dla neofitów dogmatycznego zaślepienia. Gwałtowna nobilitacja myśli Wschodu nasuwa jeszcze inne skojarzenia: ożywienie dawnej mody stanowi - na razie jeszcze bardzo nieśmiało - próbę odpowiedzi na rosnącą popularność katolicyzmu. Kompletna dewaluacja marksizmu skłaniać musi do rozpaczliwej walki przy użyciu wszelkich środków. Przebogata i wielowiekowa kultura Wschodu zasługuje na to, by stać się intelektualnym partnerem dla chrześcijaństwa, nie może jednak być jego namiastką, w co wierzą dość naiwnie redakcje niektórych czasopism.

Nie potępiam popularyzacji pod warunkiem, że ich autorów nie znamionuje całkowita bezrefleksyjność, by nie powiedzieć - bezmyślność, że zapożyczenia nie tłumią własnego głosu. Przepisywanie lub streszczanie cudzych książek /wymienianych lub nie w przypisach - w zależności od stopnia bezczelności/ bywa pożyteczne, mimo że w całym cywilizowanym świecie widziane jest raczej niechętnie. Wydawnictw dotyczących filozofii Wschodu, taroka i wróżbiarstwa na Zachodzie nie

brakuje, zatem twórcom polskich opracowań bezrobocie nie grozi.

4.

Wskazałem na dwie możliwe drogi do gwiazd, czyli sposoby uniknięcia tego, co aktualne i zarazem drażliwe, prowokujące cenzurę do czujności. Dla redaktorów dbających o wysokość nakładu, a jednocześnie w miarę dobrą opinię, każdy temat jest dobry: parapsychologia, filozofia Wschodu, horoskopy, proza angielskich "młodych gniewnych" z lat pięćdziesiątych, muzyka rockowa. Mistyfikacja polega na tym, że tworzy się wrażenie ożywienia życia intelektualnego, podczas gdy w rzeczywistości jest ono systematycznie paraliżowane.

Wygrywając batalię o pozyskanie czytelnika, redakcje czasopisma przegrywają wojnę o język, w moim odczuciu jedną z najważniejszych wojen, jaką toczy polska kultura po roku 1945. Zarówno powieści SF jak i publikowane w "Piśmie Literacko-Artystycznym" teksty pisane są niechlujną polszczyzną, przypominającą najgorsze wzory dziennikarskie. Dotyczy to coraz częściej przekładów, zwłaszcza spoza obszaru literatury pięknej, dotyczy młodej prozy drukowanej w obiegu oficjalnym. Sceptyków, którzy sądzą, że wojny o język wygrać już nie można, odsyłam do dwóch ostatnich książek wielkich mistrzów współczesnej polszczyzny: "Raportu z Oblężonego Miasta" Zbigniewa Herberta i "Rozmów polskich" Jarosława Marka Rymkiewicza. Każda z wymienionych w inny sposób rozprawia się z "nowomową". Ale tych książek nie zaakceptowałyby komunistyczna cenzura. Młodych i ambitnych twórców SF, badaczy horoskopów i Księgi Przemian cenzura zostawi w spokoju, oszczędzi KAW i "Pismo Literacko-Artystyczne". "Opiekunom" nie przeszkadzają w końcu "dzieci", które bawią się w swoim kąciaku modelem statku kosmicznego albo grą towarzyską "Mały wróżbita". Pragną tylko, by "dzieci" bawiły się grzecznie i nie wtrącały do spraw "dorosłych".

Stanisław Krzysztofowicz

Morderczy wyścig na 1200 metrów

100 m.

- Przetrączę ci kulasa jak tam pójdziesz.

W kuchni zapadła cisza. Zawsze byliśmy przyjmowani w kuchni. Była w jakimś sensie pasem konwencji - już nie przedpokój /bądź co bądź rodzina/, jeszcze nie pokoje /bądź co bądź/. Gdyby coś - zawsze mogli powiedzieć: nigdy nie wpuszczaliśmy ich na pokoje.

Poza tym stosunki tam panujące śmiało można by nazwać konwencjonalnymi. Może dlatego zwróciłem się z tym tryczliwym ostrzeżeniem.

Trzasnęły drzwi. Usłyszałem jak Małgorzata zdejmuje kurtkę. Wstałem i sam nie wiem dlaczego zacząłem wpatrywać się z napięciem w Pieśniakka. Szukałem jakiegoś oznak buntu, nawet ataku w obronie pobrużdżonej zmarszczkami twarzy. Ale on już zrozumiał, spuścił głowę i tępo patrzył w klaser ze znaczkami.

- Cześć - powiedziała Małgorzata.

- Cześć - powiedziałem i wyszedłem.

Otulił mnie ciepły, czerwcowy wieczór. "W górach jest wszystko co kocham" przypominałem sobie słowa piosenki i z ulgą zatrzasnąłem bramkę.

200m.

W moim domu mieszka szef SB. Jest kilka lat starszy ode mnie i nazywamy go Rozporek, choć w rzeczywistości nazywa się inaczej. Kiedyś ukłonił się mamie i od tego czasu cała rodzina uważa go za kulturalnego. To człowiek niewątpliwie błyskotliwy, o niestereotypowym sposobie myślenia. Takich zresztą tylko przyjmują. Na tym samym piętrze mieszka pan Jaworek, którego chorobę cenię i rozumiem. Co kilkadziesiąt minut pan Jaworek wypada i zamiata schody. Na tle ogólnego, że tak się wyrażę, burdelu, jest to z pewnością potrzebna, nie pozbawiona inicjatywy mania. Mieszka tu również pan Dąb, który był radnym, budowniczym Huty, wzorowym członkiem partii i dlatego mimo 120 lat Pan Bóg postanowił trzymać go z dala od siebie.

W moim domu mieszkam i ja, który otwierając rano oczy pytam sam siebie: jesteś tutaj?

300m.

Teraz będzie o miejscowej rodzinie.

Posiadam dwie ciotki przyszywane, mówiące o sobie "solidarnościówki", które lubię. Dwie ciotki dalsze, które nazywam karlicami i których nie lubię oraz parę krewnych bliższych, z których jeden to Pieniążek a drugą Małgorzata. Gdybym za wszelką cenę chciał zrobić karierę, zachować święty spokój i raz do roku wyjechać do Bułgarii, to pewnie byśmy się zaprzyjaźnili.

Reszta rodziny mieszka poza miastem i kiedy raz na kilka miesięcy składają nam okolicznościowe wizyty bardzo się cieszymy.

Życie przebiegało nam w atmosferze zrozumienia i życzliwości do dnia, kiedy siedząc na kanapie w kuchni powiedziałem nagle do Pieniążka:

- Przetrączę ci kulasa jak tam pójdziesz.

400m.

... W 46 ojciec siedział. Od tego czasu bardzo się zmienił - Małgorzata dramatycznie zawiesiła głos - nie dziw mu się.

- Skąd wiesz? - spytałem niewinnie.

- Sam mi kiedyś powiedział.

- Skąd wiesz, że się zmienił jak urodziłaś się czternaście lat później?

- Posłuchaj - Małgorzata zaczęła jeszcze raz - pierwszy kontakt z polityką skończył się dla niego więzieniem i teraz na starość zwyczajnie chce mieć spokój.

- Z jaką polityką - parsknąłem - Pieniążek siedział, bo miał niedobory w kasie. Co ty myślisz, że ja nie wiem?!

Małgorzata zacisnęła usta i milczała.

- Jakie masz prawo nas sądzić? - spytała po chwili.

Zapiąłem kurtkę i spojrzałem na zegarek.

- Trafiliśmy w próżnię, prawda? A tak wszystko szło dobrze.

500m.

Powiem krótko. Kiedy otworzyłem drzwi zobaczyłem Rozporaka, który powiedział:

- Wybacz pan, ale zaobserwowałem dziwne zjawisko, kiedy pan włączył u siebie bojler mnie się woda gotuje w czajniku.

Zamknąłem cicho drzwi, umyłem starannie zęby i obiecałem, że niczego nie będę komentować.

600m.

Streszczenie:

Rano spotkałem ciotki-karlice. Obie przejęte, zaafierowane - ktoś ma im przynieść ulotkę dotyczącą zbliżającego się święta, postanawiają też posłuchać nielegalnej stacji.

- Uważajcie - radzę życzliwie. - jakby co, to lepiej nawet zjeść odbiornik. W końcu dowód rzeczowy.

Odchodzą kręcąc solidnymi, przedwojennymi pupami. Obie przekonane, że jedno nierozważne słowo i zostałyby szpiegami.

- Ale czyż nie lepiej być szpiegiem niż kolaborantem ? /tak sobie myślę/.

- Czyż nie lepiej być kolaborantem niż tchórzem? /zastanawiam się/.

- Czyż nie lepiej być tchórzem niż karierowiczem? /rozważam/.

- Czyż nie lepiej być karierowiczem niż ciotkami-karlicami? /pytam/.

- To zależy /odpowiadam/ i spluwam.

700m.

Bułgaria to piękny kraj. Tam się żyje lepiej niż za cara. Bułgarska bohema pełna dostojeństwa, francuskie koniaki, awangardowa poezja. Wyrwać się stąd i do Warny, do Burgas, do Sozopolu, nalykać się tego świata, posłuchać skocznej muzyczki, upić się mastiką. Mówię ci, inny świat - rozmarzyła się Małgorzata - znam wielu pisarzy bułgarskich, prześladowanych, którzy piszą prawdę, gorzką, niewygodną i tych się ściga, upokarza, nie pozwala chodzić na plażę, odbiera długopisy, pozbawia sandałów.

Bułgaria to okno na świat. Tam jest moje miejsce. I do tego potrzebny mi paszport. Bez niego nie jestem kobietą, nie jestem Małgorzatą.

800m.

Myślę, że Pieniążek nie zrozumiał w pełni tego, co chciałem mu przekazać. W przeciwnym wypadku nigdy by tam nie poszedł. Nigdy by nie dopuścił myśli, by tam iść. Małgorzata nie miała szans, ale on mógł się uratować. Nie chcę przez to powiedzieć, że Pieniążek jest inny. Po prostu mógł się uratować.

900m.

Ubierał się jak zwykle starannie. Z niepewnością człowieka starego. Z ociężałością skazańca. Bo też i czuł się jakby szedł na szafot. Był przekonany, że gdyby przyszło mu trzeci raz tak się przygotowywać, to by tego nie przeżył. Choćby dlatego postanowił się zgodzić.

- Dzień dobry panie Pieniążek - pozdrowiło go przechodzące dziecko.

- Dzień dobry - odpowiedział i ciężko westchnął.

Minął bramę rezydencji i wolną asfaltową dróżką zbliżał się do drewnianych, bogato rzeźbionych drzwi. Wchodząc po drewnianych schodach nie czuł się bynajmniej jak olimpijczyk, chociaż kiedyś wierzył, że leży to w zasięgu jego ręki. Zamiast znicza minął popiersie Lenina i zapukał w obite dermą drzwi. Ponieważ nikt nie odpowiedział nacisnął klamkę i stanął przed krępym, starannie ubranym funkcjonariuszem tutejszej organizacji.

- No - warknął blondyn.

- Zgadza się - powiedział Pieniążek i odczuł dziwną ulgę, że już po wszystkim.

- No widzicie Pieniążek, po co było tak zwlekać. Zresztą tak mię-
dzy nami to wcale nie musicie śpiewać. Wystarczy jak będziecie odpo-
wiednio otwierać usta. Próba jest, zaraz niech jeszcze sprawdzą - za-
czął przewracać kartki - o już mam, o 16 w budynku szkoły.

- Dobrze - Pieniążek podniósł się.

- Zaczekajcie, zapomnieliście? - spytał ironicznie.

Nie wstając położył przed Pieniążkiem złożoną kartkę.

- Miało być 40 - zaproponował Pieniążek.

- Jest 35. Inni i tego nie mają. 35 kg koksu to poważny zastrzyk
na zimę. Powinniście być radzi, towarzyszu.

- Ale miało być 40 - upierał się Pieniążek.

Przez chwilę funkcjonariusz mierzył wzrokiem stojącego przed nim
mężczyznę, a później rzeczowo powiedział:

- Spierdajaj.

Przed budynkiem Pieniążek poprawił krawat, zaczesał ręką włosy.
Usłyszał łopot materiału, podniósł głowę i zobaczył dumnie powiewa-
jącą flagę. Potem odwrócił się i ruszył w drogę powrotną. Myślał o
tym, że na obiad znów będzie jadł naleśniki. Przypomniał sobie ich
wczorajszy smak i splunął z obrzydzeniem.

1000m.

Małgorzata otworzyła drzwi w długiej, bogato haftowanej sukni.
Wyglądała jak perszeron w noc wigilijną.

- Pewnie bułgarska - przemknęło mi przez głowę.

- Cześć - powiedziałam.

- Cześć odpowiedziała, ale wcale nie zamierzała mnie wpuścić.

- Mam gości - zaczęła - z Grecji i USA. Uciekli w zeszłym roku.
Teraz mieszkają w obozie dla uchodźców w Sofii i uczą się języka.

- Acha - bąknąłem i pędem rzuciłem się do furtki.

1100m.

Pieniążek już drugą godzinę ćwiczył pieśni i przysiady. To pod-
skakiwał, to wykrzykiwał głośnie hu-ha. Bardzo uważał, żeby nie fał-
szować. Za każdą pomyłkę otrzymywał bolesne uderzenie trzcinką po
goleniach.

Z braku kandydatów postanowiono zrezygnować z poprzedniej koncep-
cji chóru na rzecz jednoosobowej kapeli góralskiej /a capella/. No
i Pieniążek ćwiczył zapamiętane pod okiem pani od śpiewu. Co pewien
czas w pustej sali gimnastycznej rozlegał się dziarski śpiew, a za-
raz potem cichutki skowyt. Biedny Pieniążek nie miał ani szczęścia,
ani słuchu.

1200m.

Wyznaczony dzień zbliżał się nieuchronnie. Ciotki-karlice wysłu-
chawszy nielegalnej stacji i przeczytawszy ulotkę ubrały się w białe
bluzki i ruszyły zaraz o świcie. Z Pieniążkiem nie widziały się już
dłuższy czas, zresztą nikt nie wiedział o tajemnych próbach i boles-
nych smagnięciach po nogach. W skrytości ducha cieszyły się na /być
może/ obecność tv. Wtedy mogłyby zrealizować marzenie swojego życia
i powiedzieć milionom widzów:

- To my, ciotki-karlice!

Może nawet pozdrowić rodzinę, której nota bene nie miały.

Było już trochę późno, dlatego w miarę wpływu czasu przyspiesza-
ły. Ostatnie 100 m przebiegły galopem i zdyszane wpadły do szkoły.

To co zobaczyły przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Obok długie-
go, przydialnego stołu w kompletnym stroju góralskim stał Pieniążek

i nerwowo ścisnął ciupagę.

- No - syknął zniecierpliwiony funkcjonariusz i Pieniążek jak ugodzony dzidą zaczął podskakiwać. Od czasu do czasu wyrzucał w górę ciupagę i pohukiwał. Ciotki patrzyły jak porażone.

Na ulicy starsza autorytatywnym tonem stwierdziła:

- To nie mógł być Pieniążek!

- Nie mógł być - zgodziła się młodsza i ruszyła do domu.

Tymczasem z godziny na godzinę Pieniążek słabł. Po skroniach i plecach spływały strużki potu. Ruchy stawały się coraz mniej precyzyjne, okrzyki cichsze. Wykorzystując chwilową przerwę Pieniążek wrzucił swoją kartkę i ciężko usiadł na krześle.

W szesnaście minut później przy kolejnym wdzięcznym przysiadzie stary mężczyzna przebrany za górala przewrócił się na posadzkę i zaczął wierząć nogami w kierpcach. Potem i to ustało.

Wieczorem rozpoczęło się przeliczanie głosów. Dyrekcja szkoły zafundowała szacownej komisji kawę, ptysie oraz słone paluszki.

Liczone uważnie, starannie, liżąc palec przy każdej kartce, by się która nie ukryła. Tę mrówczą ciszę przerwał głos przewodniczącego, który zakomunikował:

- Jakiś buc wrzucił nam przydział na węgiel.

Funkcjonariusz z niesmakiem odwrócił głowę i pomyślał, że jutro poniedziałek i trzeba znowu iść do roboty.

ANDRZEJ WIERNIKÓWSKI

Wiosna osiemdziesiąt pięć

Wiosna osiemdziesiąt pięć. Czy jest jeszcze za wcześnie, aby o niej mówić? A jednak są przecież pewne objawy przedwiośnia. Jak gdyby coś się ruszyło, jakby wisiało coś w powietrzu. A może to na powierzchni dały się zauważyć pierwsze objawy ruchów tektonicznych odbywających się gdzieś w głębi, przewidywanych przez niektórych, negowanych przez innych, ale przecież istniejących niezależnie od ludzkich dobrych czy złych chęci? Nie wiemy, ale przekonamy się o tym w nie za długim czasie. Może właśnie tej wiosny, albo w lecie, a może na jesieni. Możliwe, że jeszcze później.

To jasne, że nie mówię o meteorologii i zjawiskach klimatycznych. Mówię o wielkim oceanie spraw międzynarodowych.



Jeszcze pół roku temu mogło się wydawać, że jesteśmy bardzo daleko od możliwości ponownego podjęcia rozmów między blokami. Ten wypowiedzi mężów stanu, warunki wstępne wymieniane jako niezbędne dla podjęcia dialogu, zabarwienie propagandy - wszystko to zdawało się wykluczać taką możliwość. Byli wprawdzie ludzie, którzy zwracali uwagę, że istniejące napięcie przejawia się głównie w sferze werbalnej /bo w rzeczywistości nie było nowych ani bardziej żądnych punktów konfrontacji, aniżeli przedtem/, to jednak większość opinii była zdania, że stan stosunków międzynarodowych, a zwłaszcza między wielkimi mocarstwami, jest bardzo zły i że grozi to niebezpiecznymi konsekwencjami. Odzywały się wszak głosy twierdzące, że ten stan jest najgorszy od roku 1945. Było to twierdzenie dosyć dziwne, bo przecież pamiętamy, jaki był stan tych stosunków w latach 1948-49 /blo-

kada Berlina/, podczas wojny koreańskiej, w czasie kryzysu berlińskiego i kubańskiego, w okresie wojny wietnamskiej. Przez czterdzieści lat dzielących nas od roku 1945 nie brakowało momentów, w których groził wielki wybuch. Dlatego więc twierdzenie, że stosunki międzynarodowe osiągnęły najgorszy stan akurat w latach 1983-84, wydaje się przesadne. Pozostaje jednak faktem, że były one w tym okresie złe i budziły niepokój, który wszelako nie usprawiedliwiał pojawiającej się tu i ówdzie hysterii.

Być może ostatnio stan zamrożenia stosunków międzynarodowych odczuwać szczególnie mocno, ponieważ kontrastowało to z okresem zwanym "odprężeniem" czy też d'éténte", charakterystycznym dla lat siedemdziesiątych. Na tle ówczesnej euforii, lata 1983-84 rzeczywiście wiały lodem. Wydaje się jednak, że w obu przypadkach opinia publiczna ulegała iluzjom. Odprężenie lat siedemdziesiątych nie było tak odprężone, a napięcie lat następnych tak napięte, jak o tym sądzono. I jedno, i drugie nie mogło trwać zbyt długo, ponieważ opierało się na dość przypadkowym zbiegu okoliczności, a nie na długotrwałych czynnikach, które stanowią rzeczywistość istotę procesów toczących się w dzisiejszym świecie - świecie końca dwudziestego wieku.

Odprężenie lat siedemdziesiątych miało kilka przyczyn, z których żadna nie okazała się trwałą. Jedną z nich był głęboki kryzys społeczny i polityczny, nade wszystko zaś psychologiczny, jakiemu uległa Ameryka w rezultacie wojny wietnamskiej. Wojna ta została przez USA przegrana nie dlatego, że głównemu mocarstwu światowemu zabrakło sił i środków potrzebnych, aby ją prowadzić, lecz dlatego, że społeczeństwo amerykańskie jej nie zaakceptowało. Rezultatem był głęboki kryzys przywódców i utrata poczucia celu, załamanie się tak dawniej charakterystycznego dla Ameryki optymizmu i przeświadczenia o misji tego kraju w świecie. Wywołało to wiele bardzo konkretnych konsekwencji. W opublikowanym ostatnio artykule Henry Kissinger napisał: "W latach 1969-72 Kongres obciął 40 milionów dolarów/licząc w dolarach z roku 1970/ z proponowanych przez rząd wydatków na obronę - i to zanim osiągnięto jakiegokolwiek porozumienie dotyczące kontroli zbrojeń". Ameryka przechodziła wtedy okres cofanie się.

Drugą przyczyną była recesja gospodarcza zapoczątkowana głośnym kryzysem energetycznym lat 1973-75. Kryzys ten uruchomił wiele nad wyraz skomplikowanych zjawisk. Z jednej strony spowodował długotrwałe zwolnienie tempa wzrostu rozwiniętych krajów kapitalistycznych /a nawet, w niektórych przypadkach, zmniejszenie dochodu narodowego/, spadek obrotów handlu międzynarodowego, wzrost zaś bezrobocia i ogólny zastój. Z drugiej, spowodował napływ do banków niebываłych sum płynnej gotówki, tak zwanych "petrodolarów". Było to zjawisko nie mające chyba odpowiednika w dziejach: nagle pojawienie się gigantycznej masy pieniędzy, już nie dziesiątków, lecz setek miliardów dolarów. Pieniądze te niejako poszukiwały zatrudnienia. Te dwa paradoksalnie sprzeczne ze sobą zjawiska stworzyły niepowtarzalną koniunkturę. Uprzemysłowione kraje Zachodu poszukiwały możliwości dla swych niewykorzystanych mocy produkcyjnych i dla zmniejszenia bezrobocia, a jednocześnie na rynku finansowym istniała ogromna podaż pieniężna. Tak doszło do innego zjawiska, które znamy: do wielkiego przepływu kredytu - z Zachód - Wschód.

Ten wielki przepływ pieniędzy mógł mieć dalekosiężne skutki, na które z pewnością liczyli bankierzy, a także wielu polityków i intelektualistów na Zachodzie. Wielu z nich sądziło, że spowoduje to przyspieszony rozwój gospodarczy drugiej części świata, włączy je mocniej w gospodarkę ogólnoswiatową, upodobni do zachodniej, spowoduje powstanie różnorodnych powiązań i otworzy na trwałe wielki rynek zbytu. Ukazały się na ten temat setki wypowiedzi i publikacji, które jasno przedstawiały ten właśnie sposób rozumowania. Był to jednak rachunek bez gospodarza.

Z wielu innych, bardzo głębokich przyczyn, których analiza wykracza poza ramy tego artykułu - tak się nie stało. Jeszcze raz okazało się, tym razem dobitniej niż dawniej, że gospodarki Zachodu i Wschodu działają według odmiennych zasad i podlegają innym prawidłom. Byznesmeni zachodni nie byli w stanie pojąć działania gospodarki wschodniej, w której motyw zysku odgrywa rolę niewielką albo nie odgrywa żadnej. Tak więc trwający przez kilka lat przepływ kredytów nie wywarł przewidywanych przez ludzi interesu efektów lub wywarł je w mniejszym stopniu, niż oni przewidywali. Zdecydowały o tym skomplikowane względy natury politycznej, ustrojowej, ideologicznej, których nie wzięli w dostatecznym stopniu pod uwagę. Byli zresztą wielokrotnie ostrzegani, zwłaszcza przez oficjalne wypowiedzi radzieckie, że cele i metody polityki ZSRR nie ulegną zmianie.

Tymczasem sytuacja światowa przekształciła się. Skutki kryzysu energetycznego na Zachodzie zostały przezwyciężone. Teraz w stanie kryzysu znalazł się OPEC i producenci ropy. Dopyły petrodolarów zmniejszyły się, a nawet ustał. Wiele krajów produkujących ropy popadło w długi /zwłaszcza Meksyk i Nigeria, ale kłopoty z bilansem mają niemal wszystkie kraje naftowe/. Dziś na rynku finansowym nie ma już luźnych, poszukujących zajęcia pieniędzy. Pojawiło się natomiast zjawisko wysokiej stopy procentowej, które znacznie utrudnia zaciąganie pożyczek. Operacje kredytowe stały się też trudniejsze z przyczyn politycznych.

Albowiem zmieniło się również położenie polityczne. Proces wycofania się Ameryki osiągnął punkt szczytowy w chwili załamania się prezydentury Nixona i później w ciągu czterolecia Cartera. Niepowodzenia i upokorzenia, których kulminacją była sprawa zakładników w Iranie, wywołały silną reakcję w przeciwnym kierunku. W życie zaczęło wchodzić nowe pokolenie, którego postawa i filozofia życiowa budzi zaskoczenie wśród socjologów, a także wśród nadających dawniej ton intelektualistom liberalnych, różnią się one bowiem bardzo znacznie od tego, do czego zdołano się przyzwyczaić przez kilka poprzednich dziesięcioleci. Ta nowa młodzież amerykańska odwraca się od dawnych, ukształtowanych pod wpływem liberalizmu, a także lewicowy idei postępu społecznego /których wartość i osiągnięcia neguje/, a zwraca w stronę pewnych wartości dawnych, przemieszanych z dynamicznych, a nawet agresywnym stosunkiem do rzeczywistości. Agresywnym nie w sensie negocowania rzeczywistości społecznej i ustroju amerykańskiego /jak to było w latach sześćdziesiątych/, lecz przeciwnie: wykorzystania i potwierdzenia tkwiących w nim możliwości. Jest to zatem postawa afirmacji, pogoni za powodzeniem i sukcesem, a nie zaprzeczenia i odrzucenia. Jest ona również silnie zabarwiona patriotyzmem, a nawet nacjonalizmem, na co zwrócili uwagę uczestnicy olimpiady w Los Angeles. O istnieniu i rozpowszechnieniu takich postaw świadczą wszystkie badania socjologiczne ostatnich lat, świadczą o tym również zaskakujące przesunięcia wśród najmłodszych kategorii wyborców, spośród których dawniej dominowali demokraci, a dziś republikanie. Badacze tych zjawisk mają pewne trudności w znalezieniu dla nich odpowiedniej nazwy. Najlepiej - jak mi się wydaje - pasuje tutaj nazwa paradoksalna: dynamiczny konserwatyzm.

Te zmiany w postawie psychicznej społeczeństwa amerykańskiego znajdują dziś swe odbicie również w polityce międzynarodowej. Jest to zrozumiałe, bo zmiana w nastawieniu społeczeństwa największego mocarstwa świata zachodniego musi wpływać na bieg spraw międzynarodowych. I trudno powiedzieć w jakim stopniu Ronald Reagan jest jednym ze sprawców tej zmiany, w jakim zaś jej skutkiem. Faktem pozostaje, że to co Reagan mówi i robi, przylega dość dokładnie do tych nastrojów.

Można wyliczyć kilka etapów tej zmiany w postawie Ameryki: własnie od kwestii zakładników i od rozczarowania Carterem, poprzez sprawę afgańską i ogłoszone po niej sankcje, wybór Reagana, sprawę Salwa-

doru i Nikaragui, sprawę polską, zagadnienie rakiet w zachodniej Europie i przerwanie rozmów w Genewie, Grenadę i olimpiadę w Los Angeles, sprawę terroryzmu i ponowny wybór Reagana. Przede wszystkim zaś wpłynął na to fakt najważniejszy: koniec recesji i ożywienie gospodarcze w USA.

Zbliżone procesy do tych, o których mowa, dają się zresztą zauważyć także w niektórych innych krajach zachodnich jak Japonia, Francja, Włochy, a nawet w Skandynawii, choć nigdzie nie osiągnęły takiego nasilenia jak w Stanach Zjednoczonych.

W tych warunkach odprężenie dobiegło końca. Opierało się ono na kruchych podstawach, które - wbrew żywionym dość powszechnie iluzjom - nie mogły zapewnić trwałej współpracy ani rzeczywistego utrwalenia się zaufania między państwami, zwłaszcza zaś między wielkimi mocarstwami. Przez cały czas istnienia "détente" nie ukrywano, że walka ideologiczna na świecie, walka o wpływy - bynajmniej nie wygasła. A jeśli tak rzeczywiście było, to trudno dziś pojąć, czemu załamanie się odprężenia było taką niespodzianką dla niektórych polityków.



Potem przyszedł okres lodowaty. Rozmowy rozbrojeniowe zostały przerwane, a w pewnym okresie przerwane zostały niemal wszystkie kontakty między głównymi stronami w konflikcie. Propaganda i przemówienia nabrały tonów, od jakich świat zdążył się już odzwyczaić. Zamiast rokować instalowano rakiety. Wprowadzono różnorodne sankcje i obustrzenia w międzynarodowej wymianie handlowej, naukowej i kulturalnej. Miejsce dialogu zajęła niemal codzienna wymiana gróźb. Rósł nastroj niepokoju, choć można było zauważyć /o czym już wspominałem/, że owo tak niepokojące zwykłych ludzi napięcie wyrażało się głównie w sferze werbalnej. Słowa były nadzwyczaj gwałtowne, ale czyny znacznie ostrożniejsze.

Okres zlodowacenia trwał trzynaście miesięcy - tyle czasu minęło od zerwania rozmów w Genewie do ich ponownego nawiązania. Nie trwało to zatem zbyt długo, choć trzeba naturalnie przyznać, że był to czas denerwujący, zwłaszcza że stanowił ukoronowanie znacznie dłuższego okresu powiększających się rozbieżności międzynarodowych. Ale obecnie wydaje się, że - wbrew prorokom ogólnoswiatowej zgłady - rozpoczął się ruch prowadzący w innym kierunku.

Wielu ludzi sądzi, że na wiosnę roku 1985 wahadło zmierza w drugą stronę.

Pisząc o tym już teraz, to znaczy na samym początku tej zmiany, trzeba oczywiście zadać dwa pytania. Po pierwsze: czy rzeczywiście zmiana nastąpiła i czy ma szansę okazać się bardziej trwałą? Po drugie: jakie są jej przyczyny?

Pisać, że odpowiedź na pierwsze pytanie jest trudna, byłoby banalne. W tej sprawie nie mogą mieć pewności nawet ludzie najlepiej poinformowani. Na Zachodzie nie brak publicystów i politologów uważających, że trudności na drodze do jakiegoś porozumienia w dziedzinie kontroli zbrojeń są tak wielkie, iż rokowania ograniczą się raczej do ćwiczeń propagandowych, których celem będzie wpływanie na opinię publiczną - i tylko tyle. Wszyscy zaś zgadzają się, że proces ten będzie trwał długo i nie wiadomo, dokąd nas zaprowadzi. Jak zawsze przy rokowaniach o takiej wadze, intencje stron rokujących są bardzo złożone i trudno powiedzieć, które ze wstępnych założeń jest najważniejsze. Zwykle tak bywa, że każda ze stron ma na oku wiele równorzędnych celów i od przebiegu rokowań zależy, który z nich okaże się celem głównym. Każda ze stron może też w pewnej chwili włączyć bieg wsteczny albo jałowy, to znaczy markować, że nadal uczestniczy w rozmowach, podczas gdy w rzeczywistości straciła dla nich zainteresowanie /choć nie zechce się do tego przyznać/. Albo też zacznie poszukiwać sposobności, by rozmowy zerwać, zrzucając odpowiedzialność na

drugą stroną. Wszystko to jest możliwe, należy jednak sądzić, że skoro doszło do ponownego nawiązania zerwanego przed kilku miesiącami kontaktu, to przyczyny tego muszą być na tyle poważne, że rozmowy jednak zacząć się naprawdę toczyć. Sama bowiem decyzja wznowienia ich i pominięcia stawianych uprzednio warunków i zastrzeżeń była zapewne dostatecznie trudna, aby nie sądzić, że ma ona znaczenie tylko taktyczne. Choćby więc nie możemy na podobieństwo diabła Asmodeusza podnieść dachów i posłuchać, co mówią ludzie w zaciszu strzeżonych gabinetów, to jednak zaryzykowałbym tezę, że zmiana, jaka się rysuje, jest poważna i nie jest tylko chwytem taktycznym. Piszę to wiedząc, że na razie nie ma na to ostatecznych dowodów.

Wydaje się przede wszystkim, że wyjaśnienie wątpliwości kryjących się w pierwszym pytaniu zawiera się w odpowiedzi na pytanie drugie. Jakie są przyczyny tej zmiany? Skąd się wzięła i o co w niej chodzi?

Dla każdej ze stron przyczyny są zupełnie inne, a nawet przeciwstawne. Wydaje się, że podstawową filozofią dotychczasowej prezydentury Reagana /nigdy do końca nie wypowiedzianą, a przecież wyraźną/ jest dążenie do przywrócenia Ameryce przodującej roli w świecie. Nie tylko w dziedzinie ekonomicznej czy technologicznej / bo ta nigdy nie została poważnie osłabiona/, lecz także politycznej i militarnej. Jest to zatem filozofia ofensywna, oparta na przekonaniu o ogromnych, potencjalnych możliwościach tego kraju. Pierwsza kadencja prezydenta była poświęcona próbie zbudowania nowej, silniejszej pozycji USA, która pozwoliłaby temu krajowi przywrócić zachwiane uprzednio przewodnictwo w sojuszu atlantyckim i poprowadzić dalszą politykę w oparciu o nowe możliwości i w inny, pewniejszy siebie sposób. To zamierzenie zostało w pewnym stopniu zrealizowane. Przyczyniło się do tego przede wszystkim, o czym już była mowa, ożywienie gospodarcze, ale nie tylko ono. Wymownym objawem takiego zmienionego podejścia był język prezydentury różniący się bardzo od języka używanego przez poprzednich prezydentów /z wyjątkiem może Trumana/. Mniej w nim jest dyplomatycznych subtelnosci, mniej zastrzeżeń i zahamowań, więcej agresywności i stosunkowo prostych, czysem nieco demagogicznych albo moralizatorskich stwierdzeń, które dobrze trafiają do dzisiejszego odbiorcy amerykańskiego. Są też - jak się wydaje - skuteczniejsze w polityce międzynarodowej. Ta stylistyka "swojego chłopca, który wszystko wywala na stoł" jest jednak dość złudna. Jeżeli przyjrzeć się pewnej zrzeczności, z jaką rząd Reagana uczy się na własnych błędach /przykładem może być przełknięcie i naprawienie zawinionego przez siebie niepowodzenia w Libanie/, jak wykorzystuje błędy przeciwników, to trzeba dojść do wniosku, że Reagan lepiej opanował sztukę aktorską, niżby to wynikało z jego filmów. Dowodem tego jest sposób, w jaki jego rząd przeprowadził trudną sprawę rakiet w zachodniej Europie i rozbrócił ruchy pacyfistyczne. I teraz też poważne znaczenie ma взгляд na sojuszników. Trudno więc mieć pewność, jakie naprawdę intencje przyświecają Amerykanom jadącym do Genewy. Słusznie zwracają na to uwagę komentatorzy radzieccy. Trzeba jednak również zauważyć, że nigdy w żadnych rokowaniach nie można mieć zupełnej jasności co do intencji drugiej strony. Gdyby było inaczej, to nie byłoby wszak rokowań, tylko szybkie i łatwe podpisanie odpowiedniego kontraktu. Natomiast w rokowaniach każda ze stron kieruje się własnymi intencjami, które mogą być - i zwykle są - bardzo różne. Kwestionowanie intencji drugiej strony jest po prostu jednym z narzędzi gry dyplomatycznej.

Ale można też zadać sobie inne pytanie: czy cele Ronalda Reagana dzisiaj, w drugiej kadencji, gdy perapektywa następnych wyborów już dla niego nie istnieje, są takie same jak w pierwszej? A może w grę wchodzi dziś również inne czynniki?

Na pierwszy rzut oka można by wnosić, że nic nie uległo zmianie. Prezydent może do pewnego stopnia czuć się usatysfakcjonowany. Jego postępowanie i polityka okazały się - z jego punktu widzenia - sku-

teczne, a on sam uzyskał zarówno w społeczeństwie, jak i wśród sojuszników pozycję, której od dawna nie miał żaden prezydent amerykański. Dlaczego więc miałby coś zmieniać? I rzeczywiście ostatnie wypowiedzi zarówno samego prezydenta, jak i jego współpracowników zdają się świadczyć, że nic zmieniać nie uległo. A jednak nikt nie ma zupełnej pewności, jakie jest dzisiaj jego rzeczywista nastawienie. Co chce osiągnąć w drugiej kadencji? Jak chce się zapisać w historii? Czy jako ten, który odbudował i zwielokrotnił siłę Ameryki, zapewnił swojemu krajowi przewagę? Czy może jako prezydent pokoju, jako ten, który podpisał ważne układy, przyczynił się do okiełznania zbrojeń i przeksztalcenia świata w miejsce choć trochę bezpieczniejsze?

Dotychczasowe postępowanie Reagana świadczy raczej, że chodzi mu o ten pierwszy cel. Nie trzeba jednak zapominać, że politycy są też ludźmi i tylko ludźmi - choć nieraz pozują na półbogów. Miewają zatem własne, prywatne ambicje, zwłaszcza politycy w wieku zaawansowanym, jak Reagan. Nie można więc wykluczyć, że w drugiej kadencji, tuż przed zejściem ze sceny, Reagan zechce osiągnąć coś więcej, odegrać rolę wielką, a nieoczekiwaną. Jest to wszelako tylko luźna, nieudowodniona supozycja. A ponadto, trzeba też pamiętać, że w dzisiejszym świecie pojedynczy człowiek, nawet jeśli zajmuje najwyższy urząd, nie może sam wywierać rozstrzygającego wpływu na politykę państwa.



Mówiliśmy dotąd ciągle o motywacji amerykańskiej, ale w rokowaniach uczestniczą dwie strony. Jak przedstawia się motywacja ZSRR? Dla każdego jest przecież oczywiste, że do żadnego układu i poroza - mienia dojść nie może, jeśli drugie wielkie mocarstwo nie uzna go za korzystne. Otóż wydaje się, że motywy radzieckiej decyzji uczestniczenia w rozmowach mogą być bardzo głębokie i wszechstronne. Myślę, że głębsze i wszechstronniejsze, niż motywy amerykańskie.

Alternatywą dla rokowań jest nowa, nieporównanie kosztowniejsza runda zbrojeń. A nie chodzi tu tylko o zbrojenia, które można nazwać "ilościowymi". Jeszcze ważniejsza jest rysująca się coraz wyraźniej zmiana jakościowa. Wiele wskazuje na to, że technologia wojskowa stoi w obliczu bardzo radykalnej i głębokiej przemiany. Już dzisiaj można rozpoznać dwa główne jej kierunki. Jednym jest militaryzacja kosmosu i trwające już prace nad konstrukcją systemu pozwalającego przechwytywać i niszczyć zarówno obce satelity na orbicie, jak i rakiety w locie /ten kierunek przejawia się w zainicjowanym przez rząd Reagana programie zwanym popularnie "wojnami gwiazdowymi"/. Drugim jest miniaturyzacja i automatyzacja systemów broni konwencjonalnej, utworzenie całego zasobu nowych broni opartych na wykorzystaniu minikomputerów, broni ruchliwych, łatwych do ukrycia i bardzo - wbrew pozorom - łatwych w obsłudze, wymagających jednak personelu o nader wysokich kwalifikacjach.

Te nowe bronie obu rodzajów, gdy zostaną zbudowane /a wiele z nich jest już w budowie i zostaną oddane do użytku w najbliższych latach/, mogą zupełnie odwrócić tendencję, jaka przeważała w sztuce wojennej w ostatnich kilkudziesięciu latach. O co chodzi? O to mianowicie, że jeżeli w pierwszej wojnie światowej istniejąca wówczas technika dawała zdecydowaną przewagę obronie przed atakiem /czego dowodem był pozycyjny charakter tej wojny/, to później, w wyniku rozwoju broni pancernej i lotnictwa, przewagę uzyskał atak. Dowiodła tego cała historia drugiej wojny światowej z jej szybkimi, ofensywnymi operacjami rozgrywanymi się na wielkich przestrzeniach. Jeszcze większą, wydawało się, że ostateczną przewagę uzyskał atak po wynalezieniu broni nuklearnej. Tak początkowo sądzono, bo nie było wszak żadnej obrony przed miążdzącą potęgą tej broni. Od tej pory bezpieczeństwo polegać musiało nie na twierdzach i liniach ufortyfikowa-

nych, jak dawniej, lecz na umiejętności zadania ewentualnemu przeciwnikowi młazdzącego ciosu, którego nie mógł uniknąć ani się przed nim zasłonić. Na tym właśnie, na obustronnej możliwości zadania śmiertelnego uderzenia, od czterdziestu lat opiera się pokój światowy.

Można zresztą spojrzeć na to z przeciwnego punktu widzenia. Można dowodzić, że broń jądrowa, będąc technicznie środkiem niemożliwego do zatrzymania ataku, strategicznie jest środkiem obrony; że jest to tak potężny środek obrony, iż uniemożliwia atak/oczywiście tylko w sytuacji, gdy dysponują nim obie strony/. Ale czy spojrzymy na tę sprawę tak, czy inaczej, pozostaje faktem, że broń nuklearna i służące jej środki przenoszenia uzyskały całkowitą przewagę jako broń najważniejsza i decydująca.

Lecz otóż rysująca się obecnie rewolucja naukowo-techniczna w dziedzinie wojskowej może zwiastować za jednym zamachem zarówno zmniejszenie roli tego podstawowego narzędzia współczesnej strategii, jak też i innych - wywodzących się z lat sprzed drugiej wojny światowej /choć niebywale potem udoskonalonych/ narzędzi w postaci broni pancерnej i lotnictwa. Jednocześnie zmniejszenie przydatności zarówno broni nuklearnej, jak i dotychczasowych systemów broni konwencjonalnej grozi łącznie przewrotem zarówno w dziedzinie militarnej, jak i politycznej. Grozi podkopaniem fundamentów, na których opierał się dotychczas układ sił w świecie, grozi też oczywiście tym podetawom, na których dotąd opierał się pokój.

Wszystko to są problemy, których znaczenia i zasięgu nie jesteśmy jeszcze w stanie w pełni sobie uświadomić. Trzeba jednak pamiętać, że od uruchomienia przez prezydenta Roosevelta "Projektu Manhattan" do zrzucenia bomby na Hiroszimę minęło zaledwie około trzech lat, a od ogłoszenia przez Kennedy'ego programu księżycowego do lądowania "Apolla" - około siedmiu lat. W rezultacie wielkiej koncentracji środków, ku czemu zmierza rząd Reagana, zmiany mogą następować nader prędko.

Oto pierwszy problem, który dyplomacja radziecka bierze bez wątpienia pod uwagę. Są zapewne i inne. Przywódcy radzieccy dawali już niejednokrotnie do zrozumienia, że ich kraj musi podjąć - i z pewnością podejmie - wielki wysiłek mający na celu unowocześnienie gospodarki, zwiększenie jej efektywności, dostosowanie do wymogów stawianych przez rewolucję naukowo-techniczną. Oficjalne dokumenty organów partyjnych i państwowych, a także dziesiątki publikacji świadczą, że przywiązuje się do tej sprawy rosnącą wagę. Mówi się z naciskiem o konieczności przestawienia gospodarki z ekstensywnej /osiągającej wzrost metodami ekstensywnymi/ na metodę intensyfikacji, to znaczy usprawnienia, a jednocześnie przyspieszenia postępu naukowo-technicznego. Nie ukrywa się też istniejących trudności, wśród których najpoważniejszą wydaje się brak siły roboczej nie pozwalający już stosować dawnych metod rozwijania produkcji. Są i inne problemy, o których często mówi się i pisze. I tak na przykład Związek Radziecki podjął realizację zakrojonego na szeroką skalę i wymagającego wielkich środków programu żywnościowego. Zbiega się to z inną, również kosztowną i wymagającą zaangażowania wielkich środków koniecznością: rozbudowy bazy surowcowej w azjatyckiej części kraju w związku z postępującym w naturalny sposób wyczerpywaniem dotychczasowych źródeł i złóż położonych w części europejskiej. Jest to gigantyczna operacja prowadzona już od dłuższego czasu w niezwykle trudnych warunkach naturalnych, wymagająca więc skomplikowanej techniki. Złoża na wschodzie wprawdzie bogate, ale ich eksploatacja bardzo trudna. Jest to zatem kwestia kosztownych i wielkich inwestycji.

Na motywację radziecką składa się zapewne jeszcze wiele innych czynników różnego rodzaju, w tym również sytuacja polityczna w Europie, w Trzecim Świecie i - na przykład - w Chinach.

W sumie: przypuszczam, że motywacja radziecka przy przystępowaniu do rokowań w Genewie jest wszechstronna i poważna. Nie ma natomiast

równej pewności, gdy chodzi o stronę amerykańską. To drugie dopiero
aię okaże.



Tak przedstawia się szachownica. Jako mało wprawny szachista-ama-
tor nie potrafię wskazać wszystkich możliwych ruchów, kombinacji, za-
sadek i grózb. Mogę jedynie z grubsza opisać jak są ustawione figu-
ry. Wydaje mi się, że dziś, na przedwiośniu '85 roku są one ustawio-
ne w sposób o wiele bardziej interesujący, niż rok czy dwa lata te-
mu. Ale co z tego ostatecznie wyniknie, przewidzieć na razie nie spo-
sób. Albo inaczej: przewidzieć to i owo można, ale nie tak, aby to
się nadawało do publikacji. W odróżnieniu bowiem od niektórych publi-
cystów /lepiej ich nie wymieniać/ uważam, że odpowiedzialność autora
za to, co pisze, nie tylko istnieje, ale że jest to odpowiedzialność
poważna. Dlatego rozważania na temat zjawisk w polityce międzynarodo-
wej, jakich jesteśmy dziś świadkami, nie powinny być skażone ani pe-
symizmem, ani optymizmem. Powinny być możliwie obiektywne i przede
wszystkim zwracać uwagę na to, jak niezmiernie skomplikowany charak-
ter mają nadchodzące rozmowy, jak rozległego obszaru spraw dotyczą
i od jak licznych /a często sprzecznych z sobą/ czynników zależą. Je-
dyne, co można powiedzieć z całą pewnością - to, że będą one trudne
i długie, mogą też obfitować w momenty dramatyczne. To nie są domy-
sły, lecz pewność, jako że już obecnie widać, iż obie strony zajmują
bardzo twarde pozycje wyjściowe. Dlatego można chyba z góry wykluczyć
możliwość prędkiego przełomu i rychłego porozumienia. Ale najważniej-
sze, że sam proces poszukiwań rozpoczął się. Pół roku temu wydawało
się to jeszcze bardzo odległe.

I jeszcze jedna rzeczy wydaje mi się pewna. To mianowicie, że my,
Polacy, jesteśmy w najwyższym stopniu zainteresowani złagodzeniem
napięć i otwarciem się nowych możliwości współpracy międzynarodowej.
Wiem, że nie wszyscy i nie wszędzie podzielają to zdanie. Ale wystar-
czy przyjrzeć się sprawie od drugiego końca: czy Polska może coś u-
zyskać w warunkach konfrontacji i przy złodowaceniu w stosunkach mię-
dzynarodowych? Czy w takiej sytuacji może powstać jakakolwiek szansa
wydobycia aię Polski z kryzysu? Czy mogą się wtedy otworzyć dla na-
szego kraju jakiekolwiek pozytywne perspektywy? Jest jasne, że odpo-
wiedź na te wszystkie pytania brzmi: nie. Ale nie oznacza to jednak,
że wielkie procesy światowe, których początki można zaobserwować na
wiosnę 1985 roku, same przyniosą odpowiedź na dręczące nas pytanie.
Taki wniosek byłby zbyt pochopny. Rozwiązanie polskich problemów mu-
si być znalezione przede wszystkim w kraju.

Jednakże ruch naprzód w sferze spraw międzynarodowych może takie
rozwiązanie ułatwić, będzie mu sprzyjać. Zastój oddala się. To wyda-
je się pewne.

1-5 lutego 1985

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/

Zgubiło was powodzenie

ROZMOWA Z NORMANEM DAVISEM

- Czym jest dla Pana Polska?
- Przede wszystkim zbiorowiskiem ludzi, których znam, cenię i kocham. Poznając Polskę od dwudziestu paru lat i wciąż mnie fascynuje, wciąż odsłaniają się coraz inne obszary; im bardziej w nie wchodzę, tym, wydaje mi się, mniej o nich wiem.
- Im głębiej w las...
- ... tym więcej drzew. Tak, wedle tej zasady. Polski temat dostarcza materiału, którym obdzielić można wielu historyków i to o różnych temperamentach. Idealny teren.
- Jak Pan nań trafił?
- Jak chyba każdy obcokrajowiec, przez przypadek. Miałem jechać z grupą nauczycieli do Rosji, nie dostaliśmy wizy, więc nie chcąc tracić już zakupionego biletu kolejowego, przyjechaliśmy do Warszawy.
- Czyli jednak miłość zastępcza: nie można kochać Królowny, kocha się Kopciuszka.
- W bajce Kopciuszek zamienia się w Królownę! Co do mnie: była to podróż w nieznanym kierunku.
- No, ale nie przez przypadek celował Pan w Rosję.
- Nie. Jeszcze wtedy wśród młodej inteligencji angielskiej istniało silne zainteresowanie tym krajem. Rosja wydawała się przeciwieństwem wszystkiego, co było u nas. Intelktualiści zachodni masowo tam jeździli, chcieli się z autopsji przekonać, jak tam jest. Polska okazała się inna niż moje wyobrażenie o niej, od razu mnie podbiła.
- Czym?
- Typem kontaktu z ludźmi, sposobem, w jaki Polacy porozumiewali się z nami, no, i treścią tego, co mówili. Były to lata sześćdziesiąte, a oni sporo jeszcze mówili o wojnie.
- T o Pana tak zafrapowało?
- Musi Pani pamiętać, że wojna w Polsce była czymś zupełnie innym niż w Anglii, że przeżycia ludzkie miały tu zupełnie inny wymiar. Właściwie od tego zetknięcia z polskimi wojennymi doznaniem zaczęło się moje zainteresowanie historią Polski. Bardzo też ciekawił mnie Kościół. Wywodzę się z rodziny protestanckiej i cały świat katolicki był dla mnie egzotyką. Pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie "walka o Krzyż" w Nowej Hucie...
- Opór się Panu podobał?
- Tak, bo był autentyczny i pochodził z dołu, od prostych ludzi. Egzotyką był dla mnie ten cały wasz bałagan, z pozornym tylko brakiem logiki. Wszystko inaczej niż u nas. Trudno mi było np. pojąć, że milicja to gangsterzy. Np. milicjant, który bez żenady proponuje wymianę waluty na czarnym rynku.
- Czy chce Pan przez to powiedzieć, że angielscy policjanci są bez skazy?
- Tak przynajmniej przeciętny Anglik o nich myśli.

- No dobrze, a co się Panu u nas nie podobało?

- I co mi się nie podoba do dziś to ta wasza wieczna pretensja do obcych za historię własnego kraju.

- No tak. "Noce Polaków rozmowy" przeważnie schodzą na jedno: jak to nas w historii wykorzystywano. Nie rozpoczynamy tego tematu. Zapytam Pana, jak pytam wiele osób: Za kogo się Pan uważa?

- Za pisarza, który wyjaśnia problemy pewnych wybranych grup i jednostek szerszemu gremium. Uważam historię za gałąź pisarstwa. Brak mi cierpliwości do "historii socjologicznej", zawsze bardziej interesowały mnie dzieje jednostek, i niekoniecznie tych najbardziej znanych.

- Stąd zapewne tyle w pańskich pracach interpretacji zjawisk historycznych poprzez dzieła literackie. Czy uważa Pan, że literatura jest kluczem do zrozumienia historii?

- Jednym z kluczy, na pewno. Jak również jest nim, prócz dokumentów - bajka i legenda.

- Nie przeraża Pana ugrzęźnięcie w polskim temacie?

- Tak, stale myślę, że powinienem już z Polską skończyć i zająć się czymś innym, np. historią Włoch: nieźle znam włoski i swoje studia rozpocząłem właśnie od tego kraju. Ale z drugiej strony kusi mnie napisanie całościowej historii Polski. Takie zamierzenie: jeden człowiek wobec tych wszystkich różnorodnych źródeł, zanurzony w nich, czerpiący z nich, i żeby to zrobić w ciągu jakichś dziesięciu lat.

- A niebezpieczeństwa takiego zanurzenia?

- No, są. Można się wpakować w zaściankowość, w parafianstczyznę bez znaczenia; choć z drugiej strony, w Polsce każdy szczegół jest ważny, bo Polska jest krajem na wskroś europejskim, tu krzyżują się wszelkie ważne prądy europejskie i wszelkie działania. Od początku osiemnastego wieku Polska staje się w tej samej mierze polem działania dla innych co dla działania własnego. Z tym, że ja nie wierzę, żeby geopolityka była przyczyną tej całej waszej biedy. To nieprawda. Polska miała historyczną szansę, żeby pozostać potęgą.

- Więc gdzie leży przyczyna upadku? Polacy dykują na ten temat od wieków, jak Pan to widzi?

- Jako kompleks różnorodnych czynników, zawężlonych i nie rozwiązanych pod koniec panowania Sobieskiego i na początku osiemnastego wieku. Kompleks czynników wojskowych, politycznych, ustrojowych, społecznych, gospodarczych. Wszystko, moim zdaniem, było do zreformowania. Oczywiście, jednym z czynników była geopolityka, dlatego np. Szwecja, która miała podobne słabości co Polska, albo Hiszpania - jeszcze większe - przeżyły. Geopolityka, tak, ale nie tylko...

- Mogła być jej siłą, te geopolityka?

- Mogła. Ciekawe, dlaczego Polska nie stała się mocarstwem, tylko Moskwa, która miała szansę, zdawałoby się, mniejsze, albo Prusy. Prusy były nierzadko, a jaką stały się potęgą. Rozpatrzmy sprawę w kategoriach psychologicznych: Moskwa i Prusy miały bardzo trudne początki, racjonalnie patrząc, widoki na ich przeżycie jako państw były niskie, zwłaszcza w przypadku Prus. I może dlatego, że początki były tak trudne, ta roślina polityczna okrzepła. Polska rozwijała się w XV i XVI wieku niesłychanie szybko, powiedziałbym, za szybko, no i ta szybkość sprawiła, że Polacy odurzyli się swoim powodzeniem, przestali dopuszczać do świadomości ewentualność porażki.

- Więc zgubił nas dynamizm rozwojowy?

- Bościego nie kontrolowali.

- A jednak Pan nie rozstaje się z tym krajem, zadufanym w sobie, zaprzeczającym swoją szansę...

- Mało! Pragnę temat poszerzyć o problem emigracji. Emigracja polska istnieje od trzystu lat i stale odżywniana jest nową tkanką. Nasz zakład na Uniwersytecie Londyńskim rozpoczął badania nad najbliższą nam emigracją w Anglii, w zakresie różnych dyscyplin, również dla historii małych typowych, jak antropologia czy psychologia. Moim zdaniem, emigracja polska ma kolosalne znaczenie dla życia narodu, powiem, że dlatego Polska jest narodem tak wyróżniającym się w bloku komunistycznym, bo ma taką emigrację.

- Ma Pan na myśli jej zasługi piśmiennicze i informacyjne? Tak, ja też doceniam tę poprawkę nad okółkiem cenzora czynioną jej rękami. Ale temat emigracji wydaje mi się tematem martwym, bo emigracja skazana jest na śmierć z natury rzeczy. Emigracja najpierw cierpi, a potem degraduje się do getta mniejszościowego w kraju zamieszkania. Przechowuje tradycje w sposób bardzo powierzchowny, sprowadzający się do kuchennej obrzędowości. Padło tu już z pańskich ust słowo "parafiańszczyzna"; emigracja to wielka prowincja. Oczywiście, istnieje elity, i te są aktywne. Ale i wśród nich obserwuje się zanik najwarteściowszych cech "starego kraju", takich jak, w przypadku Polaków: szczytowości czy gościnności. Może w odruchu obronnym, ale dopasowują się w sposób mało twórczy, raczej imitacyjny w stylu tubylców. Ja tego nie mówię oceniająco, jest to zapewne proces nieuchronny w każdej emigracji, ale czy musimy o tym mówić? Czuję pewien niedosyt w tym, co Pan powiedział o genezie swojego zainteresowania Polską...

- Więc powtórzę: nie było tu racjonalnej decyzji z mojej strony. Naukowo lepiej byłem przygotowany do studiów nad Włochami. Z Polską związał mnie przypadek i trudne przeżycia osobiste. Dzięki niemu poznałem głębiej kilku Polaków, których poglądy i wartości mnie zafascynowały i które zapragnąłem poznać szerzej. To wszystko.

- No i jeszcze raz: co Pana w Polakach razi?

- Polacy są tak różnorodni! Ale wielu reprezentuje stanowisko absolutnie dla mnie nie do przyjęcia: Jest nim polski nacjonalizm, który spotyka się na ka dym kroku. Stąd bierze się przerysowane poczucie własnej krzywdy, stąd ksenofobia, a co najmniej, brak tolerancji wobec mniejszości narodowych: Niemców, Żydów, Ukraińców...

- I obecnie?

- Obecnie ten "przedwojenny nacjonalizm" jest kultywowany przede wszystkim w propagandzie władz.

- Ale propaganda nie pokrywa się z opinią społeczeństwa.

- Niestety, w tym jednym punkcie pokrywa się. Jako historyk jestem szczególnie na to zjawisko wyczulony. Otóż bardzo często słyszę od młodych Polaków np., że Gdańsk był zawsze miastem polskim. Absurd! Według mnie, jest się czym szcycić, że właśnie miasto niemieckie, Danzig, było tak lojalne wobec Rzeczypospolitej, że ci dawni Niemcy w Gdańsku - choć byli oni antypruscy, byli to jednak Niemcy - czuli się dobrze przy Polsce. Jest nonsensem to, czego się czy dziś w polskich szkołach, że Gdańszczanie byli to albo patrioci polscy, albo Niemcy-polakożercy. Nic podobnego! To się stało dopiero w XIX i XX wieku.

- No, ale obecnie nie ma problemu Gdańska.

- To właśnie chciałem powiedzieć: o ile nacjonalizm umiał swoje raje w XIX wieku, kiedy to wśród ludności mieszanej każdy żywił

musiał się bronić, o tyle nie ma ich dziś. Dziś żaden nacjonalizm nie ma sensu, zamyka oczy na własną sytuację, oślepia, pozwala sobą manipulować w dowolnym kierunku. I tak, polska opinia "kupiła" od oficjalnej propagandy "legendę piastowską" oraz ujęcie sprawy Ziemi Zachodnich i Kresów Wschodnich. Proszę zapytać młodego Polaka, każdy powie: że Ziemi Zachodnie są odzyskane, a wschodnie nigdy nie były nasze...

- Więc jaki jest ten obecny czas dla naszego kraju, jak go Pan określił?

- Jest to dalszy ciąg tego ogromnego okresu ciągnącego się od XVIII wieku, kiedy celem narodu było przede wszystkim przetrwanie; nie ma mowy o jakimś wielkim zwycięstwie; samo przeżycie jest największym osiągnięciem, na jakie Polacy mogą liczyć i na jakim muszą koncentrować swoją uwagę.

- Przygnębiające. Nigdy się Pan Polską nie nudzi?

- Nudzi? Nie, nigdy. Wiele można o Polsce powiedzieć, ale nudna nie jest. Przede wszystkim, konieczność samookreślenia się w stosunku do systemu czyni każdego Polaka interesującym. Nikt nie może się wyizolować, musi zająć stanowisko. Głębokie konflikty moralne na tle samookreślenia zachodzące nie tylko w grupach, ale w każdym człowieku indywidualnie, to jest pasjonujące...

- Tak, system zmusza do zajęcia postawy moralnej. Umysłowiłam sobie ten fakt dość nieoczekiwanie przy lekturze powieści współczesnego pisarza rosyjskiego, Trifonowa. Nikt się nie może przyznać, nikt nie może zagrać moralności. Od razu widać, kto jest dużą świnią czy małą świnką, kto się świni ze strachu, a kto z cynizmu. U nas na przykład, można z kimś życie przeżyć i nie dowiedzieć się, kim jest. Takim sprawdzianem były czasy okupacji. Polska cieszyła się pochlebnią opinią, bo nie wydała ze swego łona żadnego Quislinga. Spotkałam się ze zdaniem wybitnego dziennikarza angielskiego, że gdyby Anglia była pod okupacją, to by masowo kolaborowała, jak Pan myśli?

- Anglicy nigdy nie stali przed podobnym problemem - nie wiem. Z jednej strony mają w sobie to naiwne poddanie się władzy wynikające z niezagrożonej długo suwerenności; z drugiej - istnieje w nich silne poczucie swobody. Która cecha wzięłaby górę pod okupacją, trudno powiedzieć. Osobiście, mogę doskonale wyobrazić sobie silny duch oporu w Anglii; niekoniecznie walki zbrojnej, ale całe to państwo podziemne funkcjonujące na zasadzie istnienia własnego obiegu kulturalnego z rozwiniętymi gałęziami sztuki i piśmiennictwa.

- Co Pan myśli o polskiej literaturze?

- Z dystansu uderza przede wszystkim jej rola społeczna, nieporównanie większa niż w społeczeństwach wolnych, które mają możliwość wypowiedzenia się w inny sposób.

- Ale ja myślę o wartości artystycznej.

- Rola społeczna jej nie zmniejsza. Lubuję się w polskiej literaturze, choć mam świadomość jej nieprzetłumaczalności. Taki Mickiewicz czy Sienkiewicz są nie do czytania dla Anglika. Moi studenci nie mogą pojąć, co w nich ciekawego.

- Wymienił Pan tych dwu pisarzy jednym tchem, a dla Polaka są oni nieporównywalni. Więc, wedle Pana, hermetyczność literatury polskiej czy Sienkiewicz są nie do czytania dla Anglika. Moi studenci nie mogą pojąć, co w nich ciekawego.

- Pisaną po angielsku.

- Czyli jest to kwestia języka światowego.

- Chodzi o te subtelniejsze warstwy języka, o ten cały system kodów, znaków, kontekstów, którego nie da się oddać bez straty w innym języku.

- Czy to walor czy strata?

- Ani to, ani to. Po prostu, tak się stało.

- A co się stanie z Polską?

- Los Polski wiąże się z rozwojem sytuacji światowej.

- Chodzi mi o ewolucję samych Polaków.

- Ja to widzę w perspektywie pewnych cykli ustalonych od dwustu lat. Okresy, tak zwanego, pozytywizmu, przeplatają się z "romantyzmem"; bunt i odejście od buntu...

- Czyli teraz szykuje się okres takiego uśpienia, tak?

- Tak całkiem to ja nie jestem przekonany, że ten "okres buntu" już się skończył. Istnieją przesłanki na ciąg dalszy tego "powstania", niezwykłego "powstania", bo "Solidarność" na pewno była "powstaniem", ale w sensie moralnym; jej metody były nietypowe dla dotychczasowej historii Polski.

- Skutki podobne. Co Pan myśli o religijności Polaków?

- Różnie. Muszę wyznać, że często uderzał mnie dogmatyzm klerykalny przypominający mi dogmatyzm protestancki, od którego uciekłem. Z drugiej strony, widzę ten Kościół jako bardzo szeroki, gdzie jest miejsce na wiele postaw. Fascynującym zjawiskiem jest wiązanie się ludzi niewierzących z Kościołem.

- Nie razi to Pana?

- Przeciwnie. Uważam to za coś bardzo twórczego, chociaż wiele zależy od ludzi i od środowiska. Pamiętam spotkanie na KUL-u, gdzie chciałem mówić o ekumenizmie w Anglii, o tych wszystkich wyznaniach chrześcijańskich, jakich w Polsce nie ma lub prawie nie ma, ale spotkałem się z całkowitą ignorancją i zupełnym brakiem zainteresowania.

- Na KUL-u też są różne środowiska. A jak Pan ocenia Papieża?

- Właśnie! On jest wolny od tego zaściankowego spojrzenia, choć jest ono obecne również i w Watykanie. W rozmowie ze mną Papież wyraźnie określił, gdzie stoi.

- Na Zachodzie zarzuca mu się konserwatyzm w sprawach wiary.

- Nie rozumiem, jak można być konserwatystą czy liberałem w sprawach wiary. Albo się wierzy, albo nie.

- Na koniec, chciałem Panu zadać pytanie ankietowe "dla Polaków": "Czym jest dla Pana miłość ojczyzny"?

- Ciekawe. Jest to szczególnie stosunek emocjonalny, zabarwiony ostrym krytycyzmem, ale i bezwzględny poparciem i poczuciem odpowiedzialności za losy tej zbiorowości, którą nazywa się ojczyzną. U mnie ten stosunek jest pojęciem wielowarstwowym: urodziłem się w Anglii, ale moja rodzina pochodzi z Walii, ponadto, mam poczucie wspólnoty brytyjskiej.

- Wspólnota brytyjska kojarzy się z postawą imperialną. Byłam niedawno w Ulsterze, widać to tam jak na dłoni.

- Mam więcej sympatii dla katolików Ulsterskich niż protestantów, choć urodziłem się jako protestant. Absolutnie nie czuję, że protestanci Ulsterscy to nasi, to Szkoci z pochodzenia...

- Acha! Więc i Anglicy są nacjonalistami! Chciałam jeszcze spytać, co by Pan dla ojczyzny zrobił a czego nie?

- Umierać czy pracować, tak? Za młody jestem, żeby umierać, ale pracować, istnieć dla ojczyzny, to ja rozumiem.

- Może tym akcentem zakończymy? Bo dyskusji o umieraniu za ojczyzną nie podejmę; tym bardziej, że z miejsca się z Panem nie zgadzam: za ojczyzną z dobrowoli umiera się tylko za młodu, albo wcale. Dziękuję.

Rozmawiała EWA BERBERYUSZ

Listy do redakcji

Droga redakcjo!

W dyskusji /niemrawej/ na temat Karty '84, o której myślę dokładnie nie to samo co Zbyszko Lechita, pojawił się tekst /"Bez Dekretu" nr 5/ kuriozalny, sygnowany przez p. Filonusa Piastowskiego. Kuriozalność tę widzę nie w wyrażonych przez autora poglądach, te należy szanować, jakiegokolwiek by one nie były, inaczej do niczego dobrego nie dojdziemy. Przeciwnie nawet, ogólne przesłanie tekstu, o konieczności jedności kultury polskiej i potrzebie nadania odpowiedniego znaczenia wkładowi, jaki do tej kultury wnieśli polscy robotnicy i chłopci, wydaje mi się nadzwyczaj sympatyczne. Rzecz jednak w tym, że artykuł pana Piastowskiego, w odróżnieniu od tego, co w "Bez Dekretu" zazwyczaj czytamy jest /pardon/ prymitywny. W stylu, w argumentacji i w gramatyce. Albowiem:

1. autor najwyraźniej nie wie, co to jest: kultura polityczna, stereotyp, subkultura, które to pojęcia mają swoje precyzyjne definicje w politologii i w socjologii, ja natomiast nie wiem, co to znaczy, że ktoś jest "sygnatariuszem kultury" i nie domyślałem się także, na czym polegać mogłyby "poglądy merytorycznie poprawne".

2. Zdumiewa mnie także głęboka pewność autora, że istnieje "Obiektywnie uznawany fakt /przez tzw. Zachód/ wyższości kultury polskiej nad rosyjską. A co zdaniem autora tzw. Zachód sądzi o obiektywnej wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiejnocy, także o przewadze żółtka nad białkiem?

3. Czy p. Piastowski sądzi serio, że Rosjanie, do których Karta jest adresowana czytać ją będą z "uszanowaniem odrębności tej /polskiej i robotniczej/ subkultury" oraz "w jej języku" itp.? Nie za duże wymagania?

4. Na koniec, podobnie jak p. Piastowski, mam "przewrotne pytanie". Jak wg. autora w Stoczni Gdańskiej w czasie strajku eksperci od robotników brali lekcję "stawiania się niemożliwemu możliwym"? Możliwym? A gdzie p. Piastowski trzyma swoje egzemplarze "Bez Dekretu"? Na biurku w pracy, czy, tak jak ja, w drewnitni u szwagra?

Z pięknymi ukłonami dla p.t. Redakcji

Berberys Nieutulony.

Tumany i fetysze. W drodze do Niepodległej

Z okazji minionych Świąt Wielkanocnych otrzymałem trochę życzeń. Nie powiem, sprawiły mi wiele przyjemności. Lubi człek, kiedy o nim pamiętają. Lubi, kiedy go jakoś doceniają, alibo czują do niego żywą niechęć. Najgorsze wszak jest milczenie i niezauważanie. Powiedział ktoś kiedyś: niech piszą jak chcą - byle z nazwiskiem. W naszym opocycznym podziemiu jakby gorzej z tym "nazwiskiem", ale chwalić Bo-

ga prawie wszyscy wiemy kto jaką ma ksywę. Obawiam się, że i bezpieka ma te nasze "pseudonimy" rozszyfrowane w swoich rejestrach, a przynajmniej większość z nich.

I tu nachodzi mnie refleksja wywołana przez świąteczne życzenia i nasze zakonspirowanie. Na karteczkach od prominentnych działaczy coś ze trzy razy życzone mi "wytrwania w drodze do Niepodległej...". Jednocześnie zaś donoszono mi z rozmaitych stron, co robią prominentni ministrowie /bez tek/ "Solidarności". Summa summarum wyszło na to, że może oni są na tej "drodze do Niepodległej", ale póki co nie wybudowano im gościńca. To, żeby sobie ową drogę budować samemu jeszcze im nie przyszło do głowy. Póki co, są oni namaszczeni wolą wyborców z szesnastomiesięcznego okresu jawnej działalności. Czują i wiedzą, że są wybrani, że oni muszą... ino nie wiedzą co. A robić coś trzeba. Wymyślili więc na tych tajnych gremiach szukających "drogę do Niepodległej", że trzeba bacznie patrzeć na to, co robią ci, którym coś wychodzi - jako że im nic nie wychodzi. O, pardon, wychodzi im "zwiadły laurów liść", w który z uporem stroją głowę. A to panowie "trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe".

A teraz konkretnie - co robią owi wybrańcy mas sprzed czterech lat? Czują, że muszą coś robić. Jakby duch ochoczy, ale ciało młde. Jednocześnie widzą, że obok nich ktoś coś robi - wydaje pismo, wydaje gazetki, wydaje książki... Więc oni zaczynają myśleć, dusić się - kto to robi? Jakim prawem to robi, skoro my, wybrańcy, nie daliśmy mu błogosławieństwa? Jak ten ktoś może robić, skoro my nie wiemy kto on jest i czy jest godzien naszego pomazania. Oni - wybrańcy - mobilizują się, organizują "tajne" spotkania i analizują takie, dajmy na to, "Bez Dekretu". Nie bardzo ich obchodzi "CO" tam stoi napisane. Za to okrutnie "KTO" to napisał i co więcej - "KTO" za nim stoi. Tego nie wiedzą, choć w podtytule stoi jak byk: "pismo członków i sympatyków "Solidarności". Według nich to fałsz, bo oni mają wszystkich członków w swej mocy. Zapominają, że paru sympatyków ostało się ich nieprzepartemu urokowi.

Ale do rzezozy. Gnębi ich, że komuś wyszło poza nimi. I zamiast zabrać się do tego; żeby i im wyszło, to na swój użytek zaczynają rozsiewać ploty, że takie "Bez Dekretu" to lewicowy odłam /czego?/, że totaliści /kogo?/, a w ogóle to Bóg wie kto, bo i wywłady sobie wymyślają z poetaciami, których nie ma /czytaj: nie zgłosiły się na listę godnych wywiadowania na pokojach ministerialnych wybrańców "Solidarności"/.

Niby to, co w tej chwili uprawiam, to też jakieś tam plotkarstwo, ale diabli mnie biorą, kiedy widzę ciurkiem i bez przerwy facetów złamanych, cierpiących, impotentów myśli i czynu. Powsadzali sobie do łbów po jednym kolcu /broń Boże korona cierniowa, bo to boli jak cholera/, otoczyli to aureolą wielkości koźła młyńskiego i to jest ta ich "droga do Niepodległej". A jakąż oni chcą widzieć tę Niepodległą? A czymże się ONA ma różnić od tej, gdzie również ministrowie /ale z tekami/ likwidują co bardziej samodzielny przejaw inicjatywy? Gdzie nie może być ludzi sukcesu spoza klanu Politbiura? Cóż wy innego robicie? Rozumiem, że są ludzie na rozmaity czas. Mija ich czas, to godnie odchodzą. Jeżeli tego nie robią - niech nie zawracają głowy tym, którzy są spoza "wybrańców", a jeszcze coś tam potrafią zrobić. Jeszcze nie zapatrzyli się w kolec i aureolę, a może ich to zgoła nie interesuje.

No, to życzę Wam, ministrowie /bez tek/ "Solidarności" "wytrwania w drodze do Niepodległej", ale pozwólcie i innym wytrwać - może w odmienny nieco sposób, ale wytrwać.

KONRAD STRUGA

Cena 220 zł

REZ DEKRETI

1095